

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 29 (1765) 19-25 lipca 2024

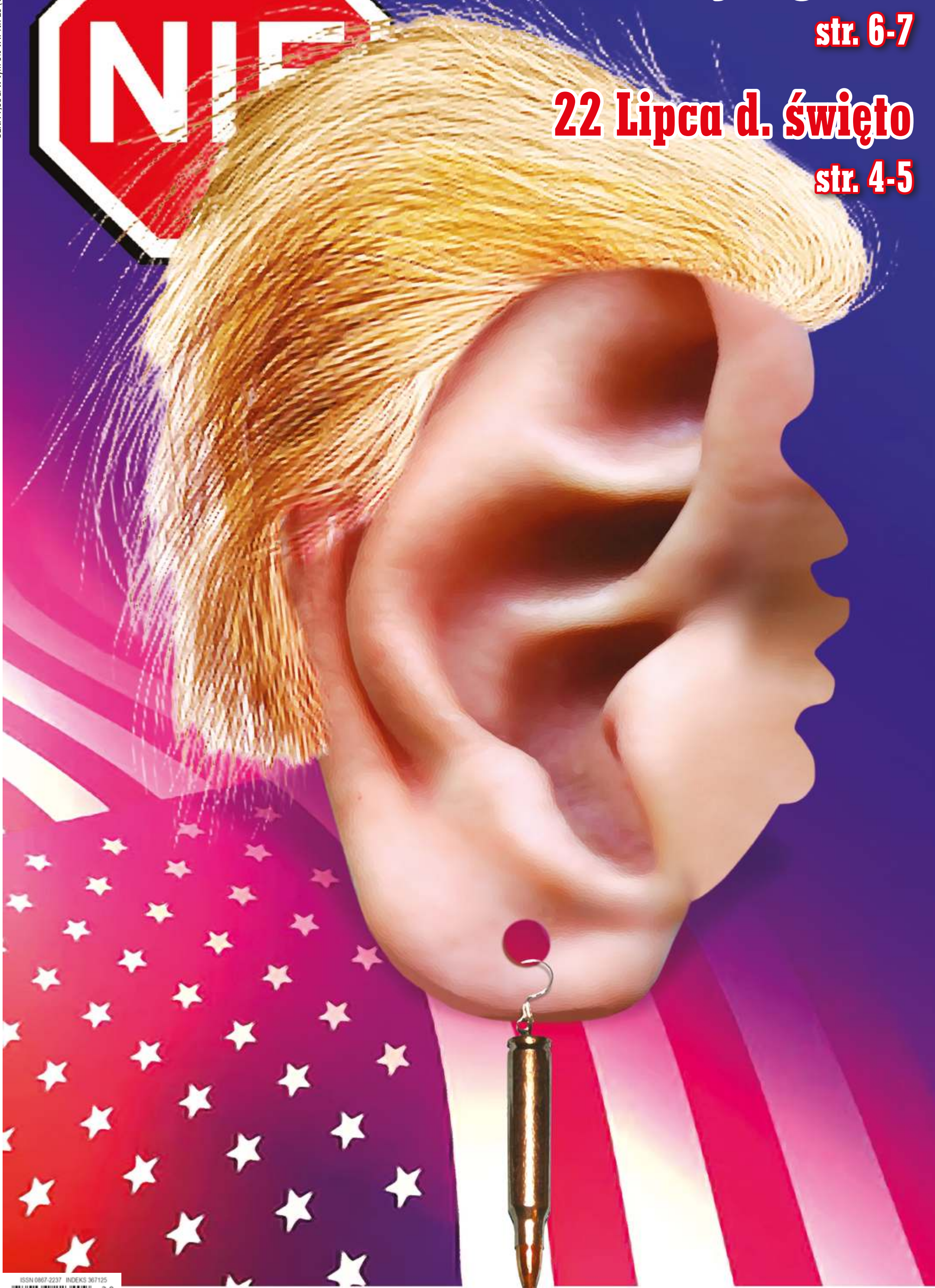


Dziadersi mniejszego zła

str. 6-7

22 Lipca d. święto

str. 4-5



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Już wiemy, dlaczego Marcin Romanowski został odegnany spod drzwi prokuratury, kiedy zgłosił się do niej w piątek po uchyleniu immunitetu: żeby w poniedziałek władza mogła związać go spektakularnie w świetle kamer, z udziałem tuzina antyterrorystów w kominiarkach. Spektakularny efekt propagandowy został wszakże zaprzeczony, kiedy okazało się, że wbrew opartym na życzeniowym myśleniu prokuratury ekspertom, Romanowski ma immunitet ze Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy i trzeba go wypuścić i jeszcze przeprosić. Teraz okazuje się, że koleś, który szastał szmałem Funduszu Sprawiedliwości na cele partyjne i jeszcze dał się nagrać podczas kombinowania, jak łgać w tej sprawie w prokuraturze – jest ofiarą politycznych prześladowań. Serdeczne gratulacje dla rycerzy rozliczeń.

♦ Odpowiedzialny za plamę z Romanowskim prokurator krajowy Dariusz Korneluk nie ma sobie nic do zarzucenia. Pytany na konferencji prasowej, czy planuje podać się do dymisji, odparł z jasnym czołem: „Proszę państwa, ja mam pełną odpowiedzialność, jaką ponoszę dzisiaj jako prokurator krajowy i jeżeli popełniłem jakiegokolwiek błąd, to zapewniam państwa, że odpowiedzialności nie będę unikał”. Tłumacząc z jurystycznego na nasze: w dupę mnie pocałujcie. I dodaj jeszcze pytany, czy działał pochopnie i niedbale, bo takie było polityczne zamówienie: „Kategorycznie zaprzeczam, żeby dziś w prokuraturze toczyły się jakiegokolwiek śledztwa z inspiracji, pod nadzorem, czy według wskazań jakichkolwiek polityków. Nie ma takich postępowań”. Nicu mu zaprzeczając, konferencję urządził także minister Bodnar. Pochwalił się 20 postępowaniami, jakie jego prokuratura prowadzi przeciw pisowcom, po czym odniósł się do sprawy Romanowskiego: „Proszę zauważyć, jesteśmy raptem 6 miesięcy po rozpoczęciu pracy tego zespołu, a ile już zdążyło się w tej sprawie zdarzyć”. Owszem, zauważyliśmy.

♦ Chętnie byśmy uwierzyli, że w działaniach prokuratury nie ma żadnej politycznej motywacji – ale nieco utrudniają nam to niedawni entuzjaści rządu, którzy dają znać, że tracą cierpliwość. „Przed wyborami słyszeliśmy od was »rozliczymy«. Jak dalej tak będziecie rozliczać, to my was rozliczymy” – grozi Tomasz Lis, dodając konstruktywną krytykę na temat sędzi – skądinąd z Justitii – która po otrzymaniu dokumentu z Rady Europy uznała areszt za nielegalny: „A może sędzia po prostu stchórzył? Nie wykluczam”. Oburzenie wyraził też „Ruch Ośmiu Gwiazd”: „Kamiński 2 tygodnie. Wąsik 2 tygodnie. Romanowski 24 godziny. Rozliczanie PiS po chuju. Co za kurwa wstyd”. Ten moment, kiedy demokratyczna większość sięga po władzę, żeby opinia publiczna mogła decydować, kto ma ile siedzieć – bezcenny.

♦ Wróżymy: zamiast Kamińskiego, Wąsika i Romanowskiego do pierdla trafi Rysio Czarnecki, który stracił immunitet europoselski, wobec czego prokuratura wznowiła sprawę o kilometrówki, bo choć kasa została zwrócona, to niesmak pozostał. Poseł Kuźmiuk, długoletni kolega Rysia z klubu PiS w PE, zapytany, czy partia będzie go bronić, odparł chwacko: „Pan poseł Czarnecki doskonale broni się sam, bierze to wszystko na klatę”. Afera Czarneckiego sprowadza się do tego, że rozliczał kilometry między Brukselą a Jasłem, chociaż mieszkał w Warszawie, a to 340 km więcej w każdą stronę. „To już jest naprawdę taki wyrafinowany sposób wyprowdzania pieniędzy z Parlamentu Europejskiego” – skomentował poseł Trela. Jeśli w oczach wiceprzewodniczącego parlamentarnego klubu lewicy tak wygląda „wyrafinowanie” – to niespecjalnie nas dziwi los zgłaszanych przez nią ustaw.

♦ Jak na przykład tzw. ustawy ratunkowej, czyli próby częściowej depenalizacji pomocnictwa przy aborcji. Najpierw z projektu, który zakładał wykreślenie aborcji z kodeksu karnego, został ogryzek sprowadzający się do niekarania za pomoc w przerwaniu ciąży w pierwszym trymestrze – który zresztą znana z wyrafinowania Anna Maria Żukowska okrzyknęła wyjątkowym i przełomowym. Potem okazało się, że lewica nie potrafi nawet tego wynegocjować od swoich rządowych koalicjantów; projektu newsadzenia do więzień matek, mężów i przyjaciółek nie poparto 27 peeselowców, dwóch posłów do Hołowni i trzech od Tuska, w tym Giertych. Tusk się wściekł na pokaz, zawiesił Giertycha w roli członka i wiceprzewodniczącego klubu parlamentarnego, ale zespołu do gromienia PiS mu nie zabrał. Za co Giertych odwdziaczył się kilka dni później, ogłaszając, że plama z Romanowskim to „kompromitacja”. Donald Tusk ma inne zdanie: „Prokuratura dobrze wykonała swoją robotę, gromadząc rzetelne dowody, co się odwlecze, to nie uciesze” – napisał uspokajająco.

♦ Włodzimierz Czarzasty tłumaczy się z wtopy z dekryminalizacją: „Kaźda z formacji, która jest w ramach koalicji, ma swój program, związku z tym wielu sprawach w tej koalicji się różni, ale jest granica tych różnic. Zawsze będziemy o swoje sprawy walczyli, będziemy walczyli twardo, ale granicą tej walki, uważam, jest trwałość koalicji, bo jeżeli ta koalicja się rozwali, to będzie pan na konferencji prasowej zadawał pytania PiS-owi, a nie przedstawicielom demokratycznej koalicji”. Otóż nie. Jeśli ta koalicja się rozwali, to będzie mniejszościowy rząd Tuska, który będzie musiał naprawdę zacząć liczyć się z lewicą, bo bez niej nie uchwali żadnej ustawy – dzięki temu formacja Czarzastego zyska dźwignię, która pozwoli jej wywierać na rządzie ważne dla siebie rozwiązania. Z tym że garstka niekompetentnych arywistów straci rządowe i sejmowe stolki, a Włodzimierz Czarzasty widoki na swoje wymarzone stanowisko. W tajemnicy możemy Włodzowi powiedzieć, że i tak marszałkiem nie zostanie. Nie ma po co się tak kurwić.

♦ A propos kurwienia: z niejaką satysfakcją odnotowujemy, że 14 z 26 posłów lewicy zagłosowało przeciwko barbarzyńskiej ustawie, pozwalającej ludziom w polskich mundurach strzelać do ludzi bez mundurów, bezkarnie i bez dania racji. Były w tej grupie wszystkie posłanki oraz Zandberg i Konieczny. Reszta chłopaków z lewicową legitymacją stanęła „murem za mundurem”. Nie miało to żadnego znaczenia, bo ustawa i tak by przeszła głosami PiS, więc mogliby zachować się przyzwoicie, ale nie mają takiego obyczaju.

AWŁ

Z URNY URBANA

22 Lipca – najważniejsze święto w okresie PRL. Dziś już mało kto o nim pamięta. Z tej okazji przypominamy okolicznościowy felieton Urbana z 2009 r.

Octem pijani



Nieboszczka, którą kocham, nieźle się trzyma. „Gazeta Wyborcza” podała wyniki badań CBOS: 44 procent dorosłej ludności Polski pozytywnie ocenia okres PRL i ten odsetek nie zmienił się przez ostatnie dziewięć lat. 43 procent ocenia nieboszczkę ujemnie. Przez te dziewięć lat niechęć zmalała o 4 punkty procentowe. Wyniki badań są dowodem na bezskuteczność propagandy PiS, IPN i całej prawicy, która po 1989 r. nadal wojowała z minionym ustrojem. Obrazem Polski Ludowej w telewizji niezmiennie było przeciwko bijące pałkami ZOMO oraz ocet stojący solo w sklepach. Widoki te uzupełniał opis: okupacja sowiecka, represyjna dyktatura, patriotci w więzieniach, mordowani księża, brak wolności, rozpasane życie nomenklatury, walczące z reżimem społeczeństwo i przemysł produkujący karykatury wyrobów.

Mieszanka ta opierała się na wzorcu kompozycyjnym stworzonym we wczesnym okresie PRL do opisu Polski międzywojennej: nędza, bezrobocie, strajki, dyktatura, strzelająca policja, pacyfikacje ukraińskich wsi, getto ławkowe dla Żydów, zapalka dzielona na cztery, obóz w Berezie, opozycja w więzieniach i na koniec uciekająca z kraju ekipa rządząca, choć twierdziła, iż nie odda ani guzika.

Różnica polega na tym, że taki obraz II RP przedstawiany był w PRL najwyżej przez 10 lat i że był w rozmaitych punktach zgodny z pamięcią trzech czwartych obywateli II RP (biorąc pod uwagę 30 proc. udziału mniejszości narodowych). Natomiast skłamany obraz PRL wciskany jest już od 20 lat. Marnie się przyjmuje, ponieważ w różnych punktach zgodny jest z pamięcią najwyżej kilku procent obywateli PRL. Nikt przecież nie widział na ulicach sowieckich okupantów i nie chodził pijany po wypiciu octu. Przez ostatnie 35 lat tamtego ustroju mało kto siedział za politykę lub choćby znał kogośkolwiek siedzącego. Księża zaś już w PRL wyglądali na paniska zadowolone z byczego życia.

O ile opinie o PRL są zróżnicowane, o tyle ocena jej pogromców dosyć jednorodna. Za rozliczaniem PRL opowiada się 18 procent, przeciw – 78. Ta większość jest zdania, że przeszłością powinni się zajmować historycy. Wyraża to niezgodę na posługiwanie się w bieżącej polityce zwalczaniem tego, czego nie ma i napiętnowanie postkomunistów. Pasje lustracyjne są właściwością fanatyków.

Spółceństwo zawiadomiło PiS, że jego komunożerstwo jest pozytywne tylko dla zachowania żelaznego elektoratu liczącego około 18 procent wyborców. Nie stanowi natomiast instrumentu ułatwiającego odzyskanie władzy. Wbrew swoim emocjom i kompleksom Kaczyńscy muszą więc rozliczenia z czerwonymi zepchnąć na trzeci plan. Z badań wynika, że nawet większość wyborców PiS nie chce się w to dalej bawić. Kaczyńskiemu przypisuje się instynkt polityczny. Tymczasem to on woła, że stoi tam, gdzie stała Solidarność, a wszyscy inni – tam, gdzie ZOMO. Jest to krzyk polityka ślepego i głuche, gdyż 80 procent członków Solidarności sprzed 1989 r. opowiada się przeciw rozliczeniom z PRL.

Platformie badania te wskazały, że może spokojnie rozpedzić IPN. Program PO głosił: otworzyć archiwum i niech każdy z tego wypyska wygrzebie, co chce i po co chce. W 2005 r. opowiadało się za tym 38 procent, teraz – 24. Obrzydzenie wobec lustracji osiągnęło taki poziom, że stłumiło nawet ludzką ciekawość. Dyrektywa wyborców dla Platformy: przeszłością się nie zajmować.

Najtrudniejsze prace myślowe czekają SLD. Wskazówka, że przeszłość nie powinna być instrumentem stosowanym w bieżącej polityce, dotyczy wszystkich partii, więc także lewicy. Z drugiej strony sprzeciw wobec zakłamywania PRL byłby mile widziany przez 47 procent ogółu, a 76 procent wyborców nie chce rozliczeń. Warto więc tę postawę wyrażać, skoro żadna inna partia tego nie

czyni. Z drugiej jednak strony gdyby SLD uległ pokusie gry tymi nastrojami, potwierdziłby opinię, że jest partią przeszłości a nie przyszłości, klubem kombatanatów PRL, zgromadzeniem nostalgików. Na krótką metę SLD może na obronie PRL trochę zyskać, na dalszą metę – dużo stracić.

Za trafną uważałbym więc taką oto politykę SLD: nie zajmować się PRL, dorobkiem tamtych czasów i ludzi, czyli nie wabić wyborców emerytów, choć są liczni, a wielu z nich nie pójdzie głosować na partię obojętną wobec ich życiowego dorobku i poczucia godności. Walić natomiast bez obawy i zahamowań we wszelkie próby wprowadzania do bieżącej polityki rozliczeń, lustracji, odwetu, dyskryminacji ludzi o PRL-owych życiorysach. Sprzeciwiać się burzeniu pomników, przemianowywaniu ulic. Mówiąc obrazowo, nie zachęcałbym SLD do rozważań, czy stan wojenny był zły, czy pozytywny. SLD wiele jednak traci, gdy pozwala prowadzić w ciszy i zapomnieniu farsowy proces przeciw generałowi Jaruzelskiemu i towarzyszom. Gdyby nadać mu rozgłosu, większość ludzi uniosłaby się gniewem. Niechęć do rozliczeń zyskałaby konkretyzację, a w ślad za tym polityczną siłę. SLD lekko przeżęga takie okazje. Nie umie bowiem wprowadzać własnych tematów do repertuaru życia publicznego. Gra swoją skromną rolę grzecznej opozycji tylko w sztukach, które partie prawicowe piszą i wystawiają na scenie.

I pomyśleć, że kiedyś we Francji republikańska centrolewica uformowała swój obóz i zepchnęła w cień prawicę, nacjonalistów, klerykałów za sprawą procesu zaledwie kapłana. Napieralskiemu zaś los zysła generała z czterema gwiazdkami i bez żadnych cięć poniżej pasa.

JERZY URBAN

TRYBUNA LUDZI

Jakieś pomysły na rozliczenie PiS-u? Bo coś chyba nie idzie.

Facebook

Sebastian Styrc: Naiwnością jest wierzyć, że ktoś zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

Arletta Browarska: Sądzić wszystkich, aż Andrzejowi zabraknie miejsca w palacu.

Eugeniusz Rezmer: Ferdek Kiepski miał na wszystko pomysła.

Piotr Skawiński: To proste – wsadzić do pierdla wszystkich, a potem stopniowo wypuszczać tych nielicznych, którzy udowodnią że nic złego nie zrobili.

Blog Złego Ojca: Wysłać do nich Pancernego Mariana.

Panie Jędrzeju: Najpierw trzeba pozamykać prawników z Ordo luris.

Paweł Banaszyk: Podobno skarbówka jest niezła w rozliczaniu, może oni?

Morgan Sobczyk: Kogoś tam jednak rozliczają. Może niezbyt gorliwie, jak byśmy wszyscy chcieli, ale ktoś tam ukarany będzie. Proponuję uzbroid się w cierpliwość.

Marcin Grochala: Mniej się z nimi cackać.

Eugeniusz Rezmer: Tu nie ma miejsca na własne pomysły, tylko trzeba działać wg metod PiS. 1. Oddać PiS-owi władzę. 2. Obserwować jak PiS rozliczy PO. 3. Skopiować.

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: Pegasusem go potraktować. A po cichu zakupić jeszcze jednego.

PRASA ŚNIADANIOWA

- Wedle raportu Facebooka profil **Patryka Jakiego** zajmuje w Polsce pierwsze miejsce. To tak jakby wygrać konkurs na najbardziej popularnego pacjenta w wariatkowie.
- **Krajowa Administracja Skarbowa** przypomina, że przywożenie niektórych pamiątek z wakacji może być niezgodne z prawem. Z USA radzimy nie przywozić fragmentów ucha.
- Jak podaje „**Gazeta Wyborcza**”, naga kobieta terroryzuje Kraków. Eh, gdzie te czasy, kiedy Kraków terroryzował krwiożerczy smok?
- **W Hiszpanii** odkryto grobowiec z płynnym winem sprzed 2000 lat. Jeśli wyprodukował je syn cieśli, to będzie grubsze zamieszanie.
- Jak przypomina **fronda.pl**, Hitlerowcy za „Bitwę pod Grunwaldem” oferowali 10 mln marek. Krzyżacy z fronda.pl utrzymują ofertę?
- **Jarosław Kaczyński** przypomniał, że mamy w Polsce do czynienia z „opitowywaniem nie tylko katolików”. Oprócz katolików warto opitowywać również paznokcie.

MARTA M.



**Powiedzmy
sobie szczerze:
Donald Trump
już wygrał
wybory. A było
tak blisko.**

Dawno nie widziałam takiego wykwitów hipokryzji jak program CNN 24 godziny po nieudanym zamachu. Każdy – dosłownie każdy – demokratyczny polityk czy ekspert, który się tam pojawiał, wznosił okrzyk: „Dzięki Bogu, że Donald Trump nie zginął”. Podobny ton przyjmował komentariat CNN, choć niektórym się ulewało i puszczali wodze fantazji. Jak legendarny Wolf Blitzer, który ogłosił: „Gdyby ta kula zbozczyła o dwa, a nawet jeden cal, to trafiłaby, Boże uchowaj, w czaszkę byłego prezydenta”. Taaa, możesz sobie pomarzyć.

Donald kocha Amerykę

Prowadzący i komentatorzy CNN w ogóle mieli trudny dzień: musieli bowiem zapraszać republikanów i z uprzejmym uśmiechem wysłuchiwać ich wzniosłych okrzyków o tym, jak Donald Trump „kocha Amerykę”

Co wynika z niecelnego strzelania

i jak jest gotów o nią „walczyć”. Walczenie wzięło się z okrzyku „Fight! Fight! Fight!” który Trump wznosił wraz z pięścią, kiedy jego ochrona usiłowała wytaskać go ze sceny, a on się wyraźnie opierał. Widzieliście kiedyś taką scenę w filmie? Wystarczy, że na widowiskie piękne balonik i osoba chroniona znika z szybkością pustynnego wiatru, ukryta pod górą ciał ochroniarzy. Tutaj piątka agentów Secret Service siłowała się z Trumpem przez kilkadziesiąt sekund, podczas gdy on zakładał buty, wydawał z siebie bojowe okrzyki i dał sobie zrobić „ikoniczne” zdjęcie z wzniesioną pięścią i dwoma strużkami krwi ciekącymi od ucha do ust.

Zdaniem jednego z analityków CNN, właśnie to zdjęcie zapewni mu zwycięstwo – poprzez pozyskanie głosów grupy, która w normalnych warunkach nigdy by na Trumpa nie zagłosowała: mężczyzn (zwłaszcza młodych) ze środowisk imigranckich. Czyli tych, na które były prezydent szczuje od początku swojej politycznej kariery, czego symbolem stał się mur na południowej granicy USA; również republikańska konwencja, odbywająca się dwa dni po zamachu, pokazywała imigrantów jako źródło zła i przestępczości. Obiektem ten nagonki są teoretycznie „nielegalni imigranci” – ale przecież mają oni rodziny i przyjaciół wśród naturalizowanych obywateli USA i sami też z czasem mogą stać się legalni. Stąd mur niechęci wobec Trumpa i republikanów w tym środowisku. Rzecz wszakże w tym, że jego większość stanowią Latynosi – faceci, wychowani w kulcie machismo. Jak ujął to przedstawiciel sondażowni zbierającej opinie po sobotnich wydarzeniach: „lejący się testosteron” robi szczególne wrażenie na tej właśnie grupie wyborców.

Choć pewnie nie tylko na niej; faktem jest, że jak na faceta, któremu kula właśnie drasnęła ucho,

Trump był wyraźnie nieprzestraszony, co można interpretować jako przejaw osobistej odwagi. Nawiasem mówiąc, deficyt lęku to jeden z kluczowych przejawów psychopatycznego zaburzenia osobowości;

występuje w pakiecie z brakiem empatii, lekceważeniem norm społecznych, impulsywnością, skłonnością do kłamstwa i niezdolnością do budowania trwałych relacji. Przeczytajcie jakąkolwiek książkę opisującą Białą Dom za Trumpa, a będziecie mieli komplet wiedzy.

Donald się nie lęka

Prawda jest jednak taka, że Amerykanie – zwłaszcza ci głoszący na Trumpa – nie czytają książek. A już na pewno takich, które nie zgadzają się z ich światopoglądem; większość czyta tylko Biblię. Nie jest to widownia podatna na refleksję dotyczącą psychicznego zdrowia swego idola.

Pozamachowy Trump prezentował się – przynajmniej w sferze werbalnej – jako odmieniony człowiek. Dużo mówił o „boskiej interwencji”, ogłosił w mediach społecznościowych, iż wyrzucił do kosza mowę przygotowaną na konwencję i pisze nową, z przekazem „jedności”. Na samej konwencji zachowywał się – co zgodnie stwierdzali komentatorzy i politycy, którzy się z nim spotkali – inaczej: był „wyciszony”, a nawet „emocjonalny”, czasem zdawało się, że jest „bliski łez”. Doświadczenie bliskiej śmierci może zmienić człowieka – przekonawali się wzajemnie. Psychopaci mają to do siebie, że się nie zmieniają pod wpływem głębszych przeżyć, których nie mają; potrafią je jednak dość przekonująco udawać. Zresztą w wypowiedziach Trumpa, na social-mediach i w „New York Post”, frustracja tym nowym wizerunkiem nieco przebijają: „Miałem przygotowaną mowę, która była niewiarygodnie twarda, naprawdę dobra, ale myślę, że byłoby bardzo źle, gdybym wyszedł i zaczął krzyczeć o tym, jak wszyscy są nieuczciwi i skorumpowani, nawet jeżeli to jest prawda”; „chcę

dziennikarz taktownie pytał Bidena, czy jest pewien, że po totalnej klęsce z pierwszej debaty z Trumpem, powinien powtarzać to doświadczenie: „Czy jest w panu chęć do tego, żeby znowu wsiąść na konia?”. Na co Biden oburzonym tonem: „Ależ ja jestem na koniu. Gdzie się pan podziewał ostatnio?”. Po czym prezydent dodał z naciskiem, że „14 milionów ludzi głosowało na niego” w prawyborach i on „ich słucha”.

To tylko pozornie deklaracja pokory wobec głosu wyborców. Tak naprawdę Biden mówi swoim krytykom, że mogą go w dupę pocałować. Jak wyjaśniają specjaliści od amerykańskiego systemu wyborczego: kiedy prawyborcy się zakończyły, nominacja należy do zwycięzcy i nikt nie może go zmusić do rezygnacji; to musi być jego własna decyzja. Biden wyraźnie okopał się na stanowisku kandydata i żadne sondaże nie są w stanie skłonić go do zmiany zdania. Choć wszystkie wróżą mu klęskę.

Najnowszy wewnętrzny sondaż demokratów wykazuje, że w siedmiu kluczowych „swingujących stanach” (czyli takich, które głosują raz na demokratów, raz na republikanów) – Arizonie, Georgii, Wisconsin, Michigan, Pensylwanii, Północnej Carolinie i Nevada – poparcie dla obecnego prezydenta jest w okolicach 40 proc. Według opartej na tych danych symulacji CNN, Biden ma szansę na 208 głosów elektorskich; Trump na 330. Co gorsza, według sondażu Ipsos dla ABC News i „Washington Post”, 54 proc. potencjalnych wyborców Bidena uważa, że powinien wycofać się z wyścigu, a 81 proc. twierdzi, że jest za stary na kolejną kadencję.

spróbować zjednoczyć ten kraj, ale nie wiem czy to jest możliwe, bo ludzie są bardzo podzieleni”...

Twardzielstwo Trumpa w obliczu zamachu jest – oczywiście – kontrastowane z Joe Bidenem i jego starczo dezintegrującą się osobowością. Obecny prezydent USA z uporem powtarza, że „ten facet jest tylko trzy lata młodszy ode mnie” – co chyba nie jest dobrym pomysłem, dodatkowo podkreśla bowiem jego stopniem dziażdżenia.

Joe nie zsiada z konia

Po stronie demokratycznej mnożą się głosy wzywające prezydenta do ustąpienia – mówią o tym politycy, sponsorzy kampanii, kościoły demokratycznego prezydenta dziennikarze. Jako pierwszy wystartował „New York Times” ze swich słynnym tekstem o tym, że Biden jest wielkim prezydentem, ale powinien już przestać. Ostatnio podobny ton obecny był w wywiadzie przeprowadzonym przez Lestera Holta z NBC, gdzie

O nastroju wśród demokratów najdobitniej świadczy fakt, iż wielu z nich mówi pokątnie, że na Białym Domu położyli już łaskę – ale co z ich mandatami? Wraz z prezydentem Amerykanie wybiorą cały kongres i jedną trzecią senatu. Dla demokratycznych kandydatów startujących w swingujących stanach zabójczy jest niski poziom entuzjazmu wyborców dla kandydatury Bidena: jeśli nie będą zmotywowani, żeby pójść zagłosować na prezydenta, to nie zagłosują też na członków obu izb. Według badania sondażowni Uniwersytetu Marquette, 65 proc. demokratów zapytanych, jak entuzjastycznie odnoszą się do kandydatury Bidena, odpowiada „wcale”.

Krótko mówiąc: jeśli w Partii Demokratycznej nie nastąpi trzęsienie ziemi – ludzkość czekać cztery lata z Trumpem w charakterze „Lidera Wolnego Świata”. Jak bardzo powinniśmy się bać? To już inna rozmowa.

AGNIESZKA
WOLK-ŁANIEWSKA



**Ucho ETYKA
Trumpa BEZBOŻNA**

Tak się jakoś składa, że w udanych zamachach na przywódców giną głównie ludzie przyzwoci, a nieprzyzwoci uchodzą z życiem. Nie jest to może jakaś sztywna prawidłowość „metafizyki dziejów”, lecz w każdym razie coś zastanawiającego. Hitler nie raz uniknął śmierci, a John F. Kennedy zamachu nie przeżył. Niedawno ranny w zamachu został populistyczny premier Słowacji R. Fico, a kilka dni temu, to sami wiecie, co się stało.

Zamachy, z wyjątkiem – być może – takich ekstremalnych sytuacji, jak krwawa dyktatura, z którą trzeba walczyć wszelkimi środkami, są nie do zaakceptowania. Panuje co do tego zgoda, jak świat długi i szeroki. Zamachowcy usiłujący zgładzić Hitlera uważani są za bohaterów, ale to jest właśnie wyjątek. Z pewnością 20-latek, który próbował zabić Donalda Trumpa, zasługuje na potępienie niezależnie od tego, jakiego rodzaju egzaltacja towarzyszyła jego czynom. Może wyobrażał sobie, że zbawia Amerykę i świat, a w końcu zabił przypadkowego człowieka, zginął sam i jeszcze w oczywisty sposób umocnił politycznie zniechęconego przez siebie polityka.

W postaci Trumpa jest wiele rysów groteskowych. Jego bezprzekładny narcyzm, jego bufonada i nieuctwo bardziej śmieszają, niż przerażają. I pomimo oczywistej grozy (bo Trump przecież otarł się o śmierć), również zamach w Pensylwanii wpisuje się w słapstickowy komizm tej postaci. Oberwał w ucho... W ucho! Kula drasnęła go, niemal nie wyrządzając mu krzywdy. To tak, jak gdyby czuwająca opatrność chciała mu powiedzieć: ej, ti, ti, ti, niegrzeczny Donaldziku, jesteś niedobrym staruszkim, ale ja i tak cię lubię.

Trudno po czymś takim nie uważać Trumpa za wybrańca bogów, zwłaszcza jak się jest ich zwolennikiem (Trumpa i bogów). Kulka wystrzelona przez szczeniaka mogła zmienić bieg światowej polityki. I być może zmieniła. Pewności w tej sprawie mieć nie będziemy. Pewni możemy być natomiast tego, że Trump uważa się dziś za podwójnego szczęściarza. Nie dość, że uszedł z życiem z groźnego zamachu, to jeszcze niebiosa zesłały mu skrzynię pełną politycznego złota. A my możemy na to tylko popatrzeć z konsternacją, zachowując swoje myśli dla siebie.

Zamachy na przywódców zdarzają się wcale nie tak rzadko. Najczęściej są udaremniane, zanim padnie strzał i szybko się o takich incydentach zapomina. Najczęściej też sprawy nie są poważne – działają w pojedynkę i są tak czy inaczej zaburzeni. Można powiedzieć, że ich zamachy są tyleż niebezpieczne, co żałosne. Mimo to, warto sobie postawić pytanie, kiedy – z moralnego punktu widzenia – zamach na życie dyktatora jest usprawiedliwiony, a nawet chwalebny.

Jak wspomniałem, jedynym powszechnie pochwalanym zamachem była próba zgładzenia Adolfa Hitlera. W starożytności postrzegano w ten sposób również zabicie Juliusza Cezara przez obrońców republiki, jakkolwiek miłośnicy cesarskiej satrapii rzecz jasna tej opinii nie podzielali. Może więc pozostaje tylko ten nieszczęsny Hitler jako przykład niebudzący kontrowersji?

Skoro tak, to ustalmy, co takiego sprawia, że zamach na tego akurat dyktatora uważany jest za czyn chwalebny? Oczywiście, chodzi o wojnę, którą udany zamach mógłby zakończyć. Ale czy na pewno? Nikt nie jest w stanie przewidzieć rozwoju wypadków w wyniku tak drastycznego wydarzenia. Śmierć Hitlera mogła doprowadzić do wycofania się Niemiec z działań wojennych i rozpadu III Rzeszy, ale mogłoby być też zupełnie inaczej, gdyby komuś z otoczenia Hitlera udało się szybko przechwycić władzę.

Trzeba się jednakże zgodzić, że gorszy wariant niż Hitler w roli dyktatora Niemiec był nie do wyobrażenia. A to ważna konkluzja z punktu widzenia naszego pytania.

Może więc jest tak, że zamach na tyrana usprawiedliwiony jest wtedy, gdy istnieje silne i niebudzące wątpliwości uzasadnienie dla tezy, że w razie jego pozostawania przy życiu i przy władzy, śmierć w następstwie jego zbrodni poniesie więcej osób niż w razie powodzenia zamachu, niezależnie od możliwych jego następstw. Takie okoliczności mogą zaś wystąpić tylko bardzo wyjątkowo. W typowych warunkach politycznych nie możemy mieć pewności. Zawsze też trzeba się liczyć z tym, że zamach będzie nieudany, a w wyniku odwetu wściekłego i przerażonego tyrana śmierć poniesie wiele przypadkowych, niezwiązanych z samym zamachem osób. Ba, tyrana może wręcz umocnić swoją władzę. Przecież nieraz już tak bywało w historii. Również Hitlerowi nieudane zamachy na jego życie przyniosły polityczne korzyści.

Nauka z tych rozważań płynie taka, że usiłowanie zgładzenia tyrana nie jest dobrym i bezpiecznym narzędziem ratowania ludzi przed jego zbrodniczą działalnością. Tyranie obalają zwykle koleżkowie samego tyrana w obawie, że jego szaleństwo w końcu i na nich sprowadzi śmierć. Długie doświadczenia walki z tyranią pokazują, że godnościowy opór społeczeństwa i poświęcenie bohaterów, którzy mają odwagę pokojowo protestować przeciwko krwawej despotii, przynoszą lepsze i trwalsze owoce niż przemoc stosowana w obronie wolności narodu. Mahatma Gandhi pokazał, że da się bez przemocy. I nie on jeden. A Trumpowi plaster na ucho!

JAN HARTMAN

Niezlomni specjaliści od polskości

Czy nowa władza przestanie pieścić czcicieli bandytów?

Stowarzyszenie Scena Kultury, organizujące Festiwal Filmowy Niepokorni Niezlomni Wyklęci, decyzją ministra kultury Piotra Glińskiego z marca 2023 r. otrzymało ponad milion złotych dofinansowania. Pieniądze idą w trzech transzach na konto NNW: 2023 r. – 360 tys. zł, 2024 r. – 360 tys. zł, 2025 r. – 360 tys. zł. Co będzie w 2026 roku? To się jeszcze zobaczy. W końcu zawsze mogą być przyspieszone wybory parlamentarne, a wybory do parlamentu UE pokazały, że PiS zajeżdża się zabetonował tak finansowo, jak i przed odpowiedzialnością karną. I co Pan na to, Panie Premierze? Panie Ministrze Sprawiedliwości? Pani Ministrze Kultury?

Wildsteiny, Rydzyki

Bartłomiej Sienkiewicz zdobył mandat do Parlamentu Europejskiego. Wcześniej zrezygnował ze stanowiska ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Jego miejsce zajęła Hanna Wróblewska. Generalnie za nami maraton wyborczy i moje pytanie brzmi: droga koalicjo, będziecie wymiatać łajno z salonów, jak obiecaliście? Czy mamy obejść się smakami? Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wciąż współfinansuje warsztaty filmowe Festiwalu Niepokorni Niezlomni Wyklęci, a także kolejną edycję rzeczonego ultraprawicowego jarmarku, która odbędzie się 4–7 października. Impreza, na której lansują się studenci Rydzyka, antysemici tacy jak Tomasz Sommer, grafomani jak Bronisław Wildstein i podobni, wszakże zawsze jednej maści – brunatni. Nie zamierzacie podważyć decyzji Glińskiego przez kolejne dwa lata?

Prezesem stowarzyszenia, tak jak i dyrektorem festiwalu, jest Arkadiusz Gołębiowski. Oprócz ministerstwa kultury sekundują mu finansowo: Państwowy Instytut Sztuki Filmowej, Komitet do Spraw Pożytku Publicznego, Narodowy Instytut Wolności i Rządowy Program Rozwoju Organizacji Obywatelskich 2018–2030. Ostatnia trójka na dwa lata kopsnęła mu skromnie 510 tys. zł na „rozwój instytucjonalny oraz budowanie trwałych podstaw dla realizacji działań misyjnych Sceny Kultury” i „rozwój portalu www.scenakultury.pl”.

W latach 2021–2022 PISF dorzucił Gołębiowskiemu w kilku transzach bankę. Rok wcześniej było skromniej – tylko stóweczka. W ubiegłym roku Gołębiowski dostał 398 tys. zł już w pierwszej styczniowej sesji PISF. Całkowity koszt festiwalu według dyrektora – 1 mln 843 tys. zł. Dodajmy, że Gołębiowski dostał tyle, o ile wnioskował, co zwykle się nie zdarza. Oj, kręci mi się w głowie od tej całej kasy, a wam? Bo poniekąd to jednak wasza kasa.

Nadeszły trudne dni

Arkadiusz Gołębiowski tłucze się triumfalnie po zamorskich festiwalach jako Ktoś, Wreszcie Ktoś. Był w Japonii i w USA – jako nasz patriotyczny wysłannik na obchody 50-lecia amerykańskiego National History Day. W porządku, cudzoziemcy nie muszą wiedzieć, kogo tułą do piersi, są zdani na cudzoziemską narrację. Wszakże sam Gołębiowski zatrudnia Wenezuelczyka Franco de Peñę, który (auto)prezentuje się jako ofiara prześladowań politycznych i wszystkich innych także. Jednak Gołębiowski

kilka tygodni temu wyraźnie obawiał się ministra Sienkiewicza i tego, że służby przetrzepią mu dotacje, przelewy, pensje. Lamentował:

„Własnym sumptem realizuję kilka projektów i kolekcjonuję w szufladzie pisma od-mawiające wsparcia. Ale to nic. Ważne rzeczy powstają zawsze w mękach, więc trzeba z tym też się mierzyć”.

On najwyraźniej ma nas za idiotów. Ba, on za idiotów ma swoich fanów.

„Kochani, nadeszły trudne dni i zapewne wszystkim nam nie jest dzisiaj obojętne to, co z Polską się dzieje. Jedni się smucą, a są pewnie i tacy, którzy przyklaskują bezprawnym działaniom. Taka od lat jest Polska, takie są nasze lokalne społeczności, takie też są często nasze rodziny” – diagnozuje wybitny artysta. I dodaje w ramach autoklamy: „Film staje się tłem do ważnych rozmów o ludzkich wyborach, pytania, co dalej z niesieniem prawdy o Żołnierzach Wyklętych”.

„Co nas czeka?” – pyta. I odpowiada złowieszczo: „Widzimy wszyscy, że będzie trudno i może bardzo trudno. Dlatego ważne, aby jednak robić swoje. Nie dać się zepchnąć na margines. Ważne, aby trzymać się wartości, które cementują w nas to, że czujemy się wspólnotą. Pilnujmy zdrowia, rodzinnych relacji, pomagajmy sobie, wspierajmy. Wierzę, że spotkamy się w październiku w Gdyni na Festiwalu, a wcześniej na Waszych premierach”.

Co, dupka odżyła? Dogadaliśmy się? My damy żyć, wy będziecie żyli? No, w końcu środowisko filmowe w Polsce tak za komunę, jak i za kaczorlandu miało opinię kurwy (często nawiązywał do tego w swoich felietonach Urban).

Ofiara chavizmu

Ale, ale, bez zbytniego patriotyzmu. W cięciu w chują współpracownicy Gołębiowskiego też są nieźli. Swego czasu dla chwały festiwalu zatrudnił Peñę, który fałszywie twierdził, iż dostał nominację do Oscara i jest autorem pięciu fabuł pełnometrażowych. To przez tego ziomka władze Poznania utopiły forszę w filmowym arcydziele „Hiszpanka” (reż. Łukasz Barczyk). Ten film z 2024 r. dostał 6 mln zł od samorządu województwa wielkopolskiego, a od PISF – 4 mln zł. Całość budżetu 25 mln zł – mało, jak dla ekipy latającej samolotami po Polsce i nocującej w Hiltonach. Film miał opowiadać o powstaniu wielkopolskim, ale chyba zapomniał... II reżyserem filmu odpowiedzialnym



za sceny zbiorowe, montaż i przeróbki scenariusza był Peña. Kiedy zapytano go, gdzie jest (kurwa) to powstanie, odpowiedział, że poznańscy politycy są sami sobie winni, bo... nie przeczytali grubego scenariusza.

Franco de Peña, jak nam doniosły wiewiórki, utrzymuje obecnie, że jest „socjalistą typu szwedzkiego”, aby za chwilę żądać posłuchu jako ofiara prześladowań politycznych reżimu najpierw Cháveza, a później – Maduro. Bez Peñi polski film byłby zdecydowanie nudny. W dodatku Gołębiowski uwielbia prześladowanych.

Panie Peña, a nie chodziło czasem o ten nieoddany sprzęt w komercyjnej wenezuelskiej antyrządowej stacji? I o samą skalę pańskiego talentu? Oto w 2008 r. wybitny ten reżyser stworzył dokument kreacyjny „Hugo król i jego poddani”. Był to paszkwil nawet nie tyle na wenezuelskiego prezydenta Hugo Cháveza, co na najuboższą ludność kraju rosnącą w fawelach i upatrzoną w rządach Ruchu Piętej Republiki (lewicowej partii założonej przez Cháveza) poprawy swojego losu. Film wyprodukowała TVP, a kasy dosypał PISF. Uściślijmy, co to jest dokument kreacyjny, bo to istotne.

„W odróżnieniu od tradycyjnego dokumentu nie stara się zachować pozorów obiektywnego przedstawienia rzeczywistości, ale wprowadzając kreacyjne środki wyrazu (odważny montaż obrazu i dźwięku, wyszukana ścieżka dźwiękowa czy kompozycja kadru, nowatorskie sposoby filmowania, obecność aluzji czy bezpośrednich cytatów z innych filmów oraz różne metody prowokowania, czy inscenizowania zdarzeń), zwraca uwagę na fikcyjność przedstawionego na ekranie świata, na to, że został on wykreowany przez reżysera na potrzeby filmu. (...) Celem filmów tego typu jest twórcze przetworzenie rzeczywistości” (M. Przyłpiak, „Poetyka kina dokumentalnego”). Wenezuelczycy uznali, że Peña z kreacją trochę przedobrził i kazali mu wypierdalać... Nie rozumiemy, skąd to oburzenie, przecież dostali film gratis. To my zapłaciliśmy.

Gdzie Peña ma pochwę

Inna sprawa, że podobną przypłkę oraz latynoskie obelżycie

ksywy Śliski i Chudy, zyskali Peña z przyjacielem reżyserem Grzegorzem Packiem przy okazji kręcenia „dokumentu kreacyjnego” zatytułowanego „List z Argentyny” o Gombrowiczu (TVP, 1997). Reżyser „Chudy” Pacek – w 2019 – wciągnął kolegę „Śliskiego” Peñę do imprezy nazywanej „Festiwal Filmowy Niepokorni Niezlomni Wyklęci”. I tak do dzisiaj trwają w dueciku na nasz koszt.

Jednak Peña najbardziej znany jest z filmu, który dystrybuował mu Caritas – „Masz na imię Justine” (2005). Według Wenezuelczyka, jest to obraz o „praniu mózgu”, a handel „ludzkim towarem” to tylko „publicystyka, będąca punktem wyjścia”. Film jest znacznie okrojony co do scenariusza. W jednej z wersji tekstu Mariola (Anna Cieślak), w zamian za wolność zgadza się na odbycie stosunku seksualnego, który nam w głowie nie chce się pomieścić, a przecież jedliśmy z niej jednego pieca. Mariola ma głęboko rozciąć mięsień uda i tym samym stworzyć sztuczną pochwę dla klienta. Zapytany o tą makabrę Peña twierdził, że pomysł wyszedł od współscenarzysty Chrisa Burdzy, bo w żadnym wypadku nie od niego...

Caritas pokazywał przemocowo-dewiacyjną fabułę w Polsce i na Białorusi. Pokazy w szkołach miały ostrzegać tamtejsze dziewczęta o zagrożeniach handlu ludźmi. Co ciekawe, film okazyjnie wciąż jest dystrybuowany w Polsce przez Caritas. Jest również żelaznym punktem katolickich i policyjnych pogadanek. Popłynęły tantiemy i wciąż płyną – bo wciąż są pogadanki.

Peña chwali, że to prezydent Lech Kaczyński namówił go oświecić, aby uczynił nam ten honor i przyjął obywatelstwo polskie. Jedną osobą drugiej osobie nie mogła odmówić. Tym bardziej, że wówczas w rodzinnym kraju reżysera powstawał już oparty na koncepcjach rewolucji boliwariańskiej lewicowy Ruch Piętej Republiki, który ostatecznie przejął w Wenezueli władzę. Peña zaś jest proamerykańskim antykomuchem. Aż strach, co Peñi może dać Bystry Prezydent Duda, który jest patronem festiwalu NNW.

MARIKA SZWARC

80 rocznica PKWN

Przez 45 lat Polski Ludowej 22 lipca uroczście obchodzono rocznicę ogłoszenia w Chełmie Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego – najważniejsze wówczas święto państwowe. Podobnie jak dzisiejszy 11 listopada, nieco dęte.

Tak jak 11 listopada 1918 r., tak i 22 lipca 1944 r. nic szczególnego się nie działo. Tego dnia brygada pancerna, w której miałem zaszczyt służyć – jedyna taka jednostka w 1. armii WP – zajęła Chełm, przez uciekających Niemców zresztą prawie niebroniony.

Mieliśmy rozkaz obsadzić miasto i oczekiwać przybycia Komitetu Wyzwolenia. Nikt jednak się nie zjawił, jedynie oficerowie polityczni ze sztabu brygady rozkleili tekst Manifestu

opracowanego i wydrukowanego w Moskwie, gdzie ten Komitet się zawiązał i pierwsze obrady odbył. Ale to rzecz w czasie wojny zwyczajna. Komitet Wolnej Francji też zawiązał się w Londynie i dopiero inwazja aliantów na kontynent otworzyła mu drogę do kraju. My w Chełmie przybycia PKWN nie doczekaliśmy. Stacjonowaliśmy tam jeden dzień, potem zmieniła nas piechota, a my – w drugiej linii radzieckiej armii pancernej – ruszyliśmy na Lublin, gdzie od 24 lipca rozbrajaliśmy resztki niemieckich wojsk. Po dwóch dniach ruszyliśmy dalej ku Wiśle.

Łgarstwo „drugiej okupacji”

PKWN, zawiązany w Moskwie przez proradziecką polską komunistyczną – i nie tylko komunistyczną – emigrację, objął w Polsce władzę i po krótkim pobycie w Chełmie przeniósł się do Lublina, a pod koniec stycznia 1945 r. – do wyzwolonej Warszawy. Został w Polsce przyjęty z mieszanymi uczuciami: ulgi, bo kończyła się okrutna niemiecka okupacja, ale też u wielu – rozczarowania, gdyż innego wyzwolenia oczekiwali. Liczyli na Zachód i wyniesienie do władzy przygotowanej w podziemiu administracji i Armii Krajowej. Jednak prawdziwi zwycięcy tej wojny, trzy mocarstwa Wielkiej Koalicji

Ludzie różnie spędzają lato. Jedni remonują kuchnię. Drudzy wybierają wczasy all inclusive na Wyspach Kanaryjskich. Kolejni wolą odpocząć w cieniu parawanów nad bajorem dla morsów, czyli Bałtykiem. A co robią prawdziwi Polacy? Robią piknik przy autostradzie na Podkarpaciu w cieniu kilkunastometrowego monumentu, sławetnego dzięki dzieciątku przesytememu tryzubem i czaszkom milusińskich wbitym na sztachety płotu.

I nie, nie ma się z czego śmiać. Brunatnym rosną słupki, bo oni – w odróżnieniu od PiS-u – nie troszczą się o to, co kto z nieprzychylnych mediów o nich napisze. Mają swoją grupę docelową, do której potrafią dotrzeć. A docierają z przekazem, od którego włos jeży się na głowie. Dowodzi tego impreza z niedzieli 14 lipca w Domostawie przy drodze S19, gromadząca polityków Konfederacji – z niezawodnym Grzegorzem „Gaśnicą” Braunem na czele – oraz tysiące nacjonalistów z całego kraju i Polonię ze świata.

Wszyscy oni uświetnili odsłonięcie Pomnika „Rzeź wołyńska”, doskonale wiedząc, że upamiętnienie zbrodni z lat 40. ubiegłego stulecia to tylko pretekst. Prawdziwa gra toczy się o ten milion czy więcej ludzi, którzy przybyli do nas z Ukrainy – część, uciekając przed horrorem wojny, część, szukając po prostu lepszego życia – i o to, aby nastawić Polaków przeciwko nim. Olha, która studiuję dziennikarstwo w Lublinie, Oleksandr jeżdżący na Uberze w stolicy, ci wszyscy kurierzy czy sprzątaczkę miast i miasteczek w Polsce, mają „przepraszać” za rzeź wołyńską, a potem – myślą narodowcy – spierdalać. I nie zabierać Polakom i Polkom pracy i nie niszczyć zdrowej tkanki Narodu Polskiego.

Martyrologia w imię nienawiści

Autorem pomnika jest nieżyjący już Andrzej Pityński – mieszkający przez lata w USA twórca, który specjalizował się w statuach pełnych krwawych szczegółów, za co prezydent Duda powiesił na nim Orła Białego. Jego dzieła to jedna wielka opowieść o polskiej martyrologii; „Rzeź wołyńska” idealnie się w to wpisuje.

22 Lipca

d. święto

Antyhitlerowskiej, zdecydowały inaczej: władzę przejmowali Polacy orientacji proradzieckiej i przez ZSRR popierani – ale Polacy.

Dzisiaj oficjalna historiografia pisze o zastąpieniu jednej okupacji przez drugą, niemieckiej przez radziecką. To kpina z rzeczywistości, zrównanie dwu nieporównywalnych sytuacji.

Niemiecka okupacja ziem polskich trwała pięć lat. Dokładnie 1950 dni: od końca czerwca 1941 r. Niemcy okupowali całość ziem państwa polskiego, w granicach przedwojennych i powojennych. Okupacja radziecka w sensie dosłownym dotyczyła jedynie Kresów Wschodnich i trwała około 500 dni. Według obliczenia wykonanego na zlecenie IPN kilka lat temu, ofiary śmiertelne okupacji niemieckiej przekroczyły 5 mln ludzi; po stronie radzieckiej doliczono się mniej niż 200 tys., wliczając listę katyńską i zmarłych na zesłaniu, w tym mojego bratka.

Po stronie niemieckiej ginęło średnio 2500 osób dziennie. Nawet odliczając 3 mln ofiar Holocaustu, pozostaje ponad 2 mln zabitych Polaków – 1100 osób dziennie. Prawdziwa rzeź – i ta rzeź w lipcu 1944 r. zakończyła się między Bugiem i Wisłą, a w styczniu 1945 r. – na reszcie ziem polskich. To była zmiana zasadnicza, nieporównywalna z niczym, a spowodowana zajęciem tych ziem przez Armię Czerwoną i wypędzeniem Niemców.

Z AK do 2. Armii

Rozpatrzmy inne parametry losu polskiego. Pod okupacją niemiecką przez ponad pięć lat publiczne szkolnictwo polskie ograniczało się do

szkół podstawowych – średnie i wyższe nie istniało, usiłowano je zastąpić nauczaniem tajnym. Na ziemiach wyzwolonych przez armię radziecką natychmiast wznawiano działalność wszystkich typów polskiego szkolnictwa; w Lublinie uru-

chomiono nieistniejący przed wojną Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej. Pod okupacją niemiecką nie istniała w żadnej postaci polska administracja państwowa; na ziemiach wyzwolanych w 1944 i 1945 r. przywracano tę administrację w całej pełni, a radzieckiej nigdy nie zainstalowano. Jak tu można mówić o dwu okupacjach?

Państwo polskie odbudowujące się na ziemiach wyzwolanych przez Armię Czerwoną było uzależnione od ZSRR, podobnie jak Rzeczpospolita stanisławowska w XVIII w. była uzależniona od cesarzowej Katarzyny II. Nawet mniej, bo Polską Lubelską nigdy nie rządził radziecki ambasador, a tą stanisławowską – często.

Polska Ludowa powstająca w lipcu 1944 r. wystawiła i skierowała na front do walki z Niemcami dwie armie: wraz z rezerwami ponad 300 tys. żołnierzy. Członkowie AK się podzielili: jedni zwalczyli Polską Ludową i organizowali dezercję z jej wojska, inni, wcale liczni, lojalnie w nim służyli i walczyli.

W moim batalionie zastępcą dowódcy do spraw liniowych, od września 1944 r. do końca wojny, był kapitan Tadeusz Sowa, akowicz z lubelskiego. W pewnym sensie zawdzięczam mu życie. W czasie walk o Gdańsk utknąłem z kilkoma kolegami w pułapce na otoczonej pożarem Starówce. Kapitan Sowa, wykorzystując zdobyczy niemiecki półgąsienicowy motocykl, kilkakrotnie sforsował ogarnięte pożarem uliczki i nas ewakuował.

Inny przykład: Dominik Golec, akowicz z Tarnopola, po wojnie mąż mojej ciotecznej siostry Aldony, służył w 2. Armii WP, był dowódcą działu w najnowszym modelu czołgu T-34. Pod Budziszynem został ciężko ranny w głowę. Krakowscy lekarze uratowali mu wzrok, ale znaczne upośledzenie pozostało. Pracował w bytomskiej fabryce górniczych taśmociągów. Bywałem u nich, zawsze był dumny ze swej żołnierskiej przeszłości w AK i w 2. Armii. Przykładów podobnych jest wiele, zwłaszcza w 2. Armii.

Szli na zachód

Największe znaczenie dla przyszłości Polski miał wpływ PKWN na kształt terytorialny odradzającego się państwa. Konferencja Wielkiej Trójki w Teheranie (listopad 1943 r.) przyjęła propozycję Churchilla, żeby utratę Kresów Wschodnich

zrekompensować Polsce na zachodzie kosztem Niemiec. Churchill wyliczył, że Polsce należy przekazać tereny wystarczające dla osiedlenia 3 mln repatriantów ze wschodu. Uznano, że do tego celu – po wysiedleniu Niemców – wystarczy Śląsk Górny i Opolski, Gdańsk z otoczeniem i Prusy wschodnie. Stalin się z tym zgodził i przy tej propozycji trwał kilka miesięcy.

Latem 1944 r. postanowił w kwestii polskiej postawić zachodnich aliantów wobec faktów dokonanych. Zainstalować na wyzwolonym skrawku Polski w Lublinie rząd złożony ze swoich zwolenników, a jednocześnie radykalnie zwiększyć, kosztem Niemiec, rekompensatę za Kresy. Opowiedział się za najdalej wysuniętą na zachód wersją nowej polskiej granicy, postulowaną przez Polaków: za linią Odra-Nysa. Gdy dowiedział się, że są dwie Nysy, Kłodzka i Łużycka, wybrał tę zachodnią. Tej wersji skutecznie bronił aż do decyzji w Poczdamie. Alianci byli przeciwni, sądzili, że okrojenie Niemiec o 20 proc. to poważna i niepotrzebna komplikacja powojennych z nimi relacji. Ustąpili, gdyż Roosevelt uważał, że na terenach zajętych przez Armię Czerwoną należy Stalinowi zostawić wolną rękę.

Zresztą Stalin nie czekał na decyzje konferencji poczdamskiej; w miarę posuwania się jego wojsk na zachód przekazywał Polsce władzę na wyzwolanych ziemiach. Już 14 marca prezydentem Wrocławia został mianowany krakowski socjalista dr Bolesław Drobner, choć garnizon niemiecki jeszcze się bronił.

Te stalinowskie propozycje graniczne były zbyt hojne, aby dały się wyjaśnić jedynie „nagroda” za PKWN. Szło raczej o trwałe związanie Polski ważnym interesem narodowym z ZSRR; może też o zachowanie sobie możliwości grania tą granicą w relacjach z Niemcami po wojnie. Za tym drugim wariantem przemawia różnica w redakcji proponowanych przez Stalina decyzji granicznych Poczdamu. Obwód królewiecki zdecydowanie inkorporowano w granice ZSRR; wobec naszych ziem zachodnich Stalin zaproponował formuły bardziej elastyczne, niewykluczające jakiegokolwiek korekty. Gomulka tego się obawiał i usilnie zabiegał o zawarowanie nienaruszalności tej granicy w odrębnym, niezależnym od gwarancji radzieckich traktacie z Niemcami. Osiągnął to na odchodne, 14 dni przed utratą władzy w grudniu 1970 r.

Tak czy owak, gdyby posolidarnościowi władcy III RP mieli standardy kultury politycznej podobne francuskim czy niemieckim, powinni byli ze swej barbarzyńskiej akcji niszczenia pamiątek po Polsce Ludowej wyłaczyć Wrocław i Szczecin. Lub przynajmniej pozostawić tam place lub ulice imienia PKWN; to dzięki PKWN te miasta należą do Rzeczypospolitej.

ANDRZEJ WERBLAN

Piknik w cieniu trupków

Antyukraińska orgia konfederatów

Szkaradny pomnik przedstawia orła w koronie z korpusem w płomieniach, na którego skrzydłach są nazwy miejscowości, gdzie Ukraińcy mordowali Polaków.

W środku orła wycięty jest krzyż, a w nim tkwi symbol ukraińskiego nacjonalizmu, trójzębne widły, na które nabite jest zwiotczone ciało dziecka.

U podstaw monumentu znajduje się po jednej stronie rodzina z pociechami w płomieniach, po drugiej zaś – również w płomieniach – dziecięce głowy nabite na sztachety płotu. Całość z cokołem ma ok. 20 metrów.

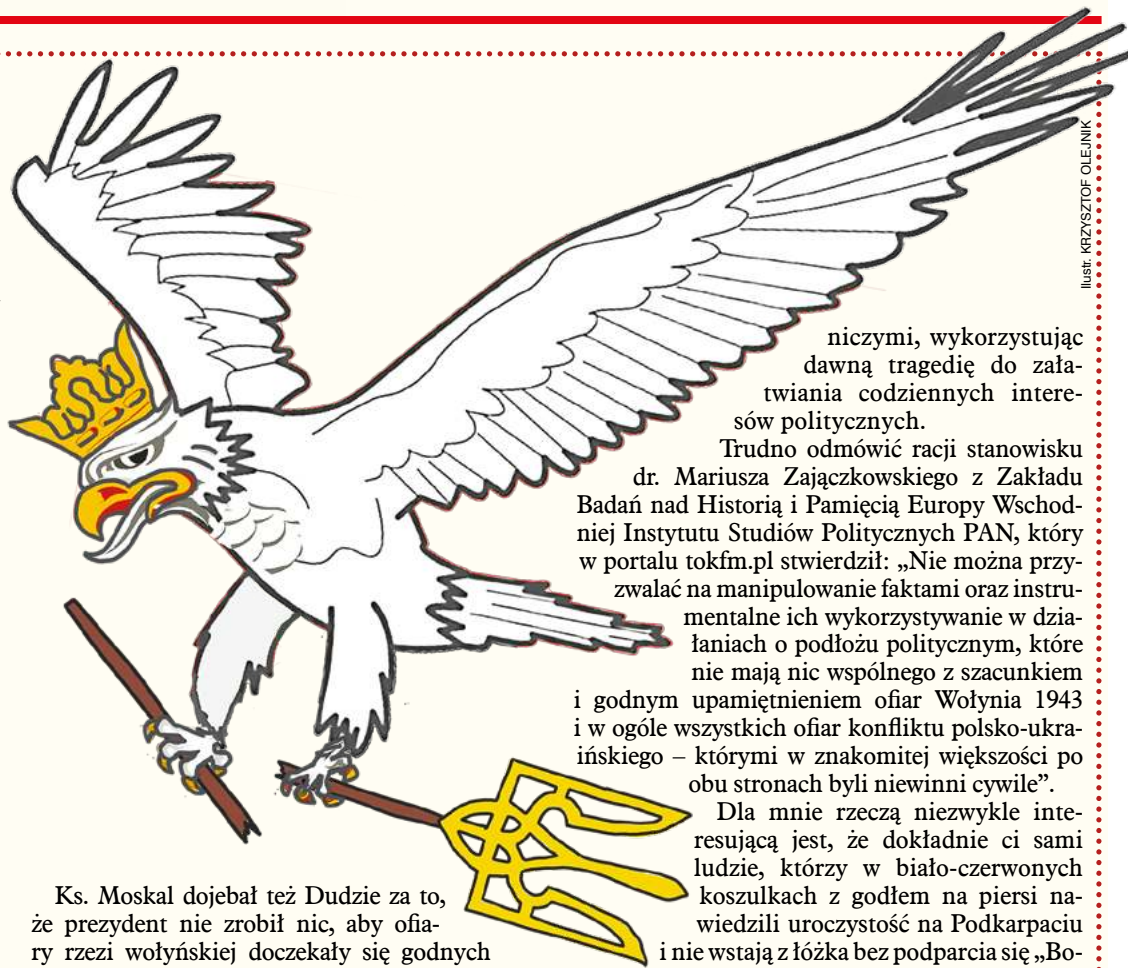
Pomnik znalazł przystań przy drodze Via Carpatia, w okolicy wsi Domostawy, w powiecie niżańskim, gminie Jarocin (inny Jarocin od tego słynnego dzięki festiwalowi rockowemu). Polonii amerykańskiej, która sfinansowała budowę monumentu, nie udało się umieścić go w bardziej uczęszczanych lokalizacjach, takich jak Rzeszów, Jelenia Góra czy Stalowa Wola. Nie chciał go nawet rydzikowy Toruń.

Były wójt gminy Jarocin podczas uroczystości odsłonięcia pomnika powiedział rezolutnie: „Ja mogę tak z przekorą przeprosić tych malkontentów, którzy uważają, że pomnik powinien stać w bardziej godnym miejscu. Więc przepraszam, że nie byłem prezydentem Warszawy, że nie byłem prezydentem Rzeszowa, że nie byłem prezydentem Jeleniej Góry, Stalowej Woli i że nie byłem ojcem Tadeuszem z Torunia”.

Braun w swoim stylu napisał w mediach społecznościowych, że impreza „gromadzi tysiące patriotów”, że to wręcz „grupa rekonstrukcji historycznej narodu polskiego”, bo wszak nie ma na uroczystości Wojska Polskiego, ale są rekonstruktorzy; nie ma władz centralnych, są postowie Konfederacji.

Prawicowy internet zwrócił uwagę na znaczący brak posłów PiS-u.

Show skradł ks. Antoni Moskal, główny celebrans mszy, która zgromadziła tłumy, prezes komitetu honorowego budowy pomnika. Oj, dostało się hierarchom, bo jak powiedział Moskal, jeszcze kilka dni przed uroczystym odsłonięciem monumentu nie było wiadomo, czy Kościół pozwoli tu na mszę. I dodał, że rzeź wołyńska to także dla Kościoła niewygodny temat; nie przez przypadek uroczystości nie zaszczyli biskupi, ani sandomierski, ani przemyski. Klecha nie brał jeńców, walczył między oczy: „Ale nie wolno uciekać od prawdy. Może księża się na mnie obrażą, nie obchodzi mnie to wcale”.



Ks. Moskal dojeżdżał też Dudzie za to, że prezydent nie zrobił nic, aby ofiary rzezi wołyńskiej doczekały się godnych pochówków. Podkreślił, że trudno oczekiwać od Polaków przebaczenia, gdy sprawcy zła nie przeprasili za swoje zbrodnie.

Lepsze trupy niż dupy?

Oczywiście, nie trzeba umysłu Einsteina, aby mieć pewność, że za parę lat, jeśli (pesymiści mówią, że raczej „kiedy”) Konfederacja dorwie się do władzy, „Rzeź wołyńska” będzie regularnie nawiedzana nie tylko przez nawiedzonych prawaków, lecz przez władze Rzeczypospolitej. Robiąc wszystko, aby wznieść, wzmocnić nieprzekraczalny mur między Polakami i Ukraińcami, najeżony symbolicznymi wieżami straż-

niczymi, wykorzystując dawną tragedię do załatwiania codziennych interesów politycznych.

Trudno odmówić racji stanowisku dr. Mariusza Zajączkowskiego z Zakładu Badań nad Historią i Pamięcią Europy Wschodniej Instytutu Studiów Politycznych PAN, który w portalu tokfm.pl stwierdził: „Nie można przyzwalać na manipulowanie faktami oraz instrumentalne ich wykorzystywanie w działaniach o podłożu politycznym, które nie mają nic wspólnego z szacunkiem i godnym upamiętnieniem ofiar Wołynia 1943 i w ogóle wszystkich ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego – którymi w znakomitej większości po obu stronach byli niewinni cywile”.

Dla mnie rzeczą niezwykle interesującą jest, że dokładnie ci sami ludzie, którzy w biało-czerwonych koszulkach z godłem na piersi nawiedzili uroczystość na Podkarpaciu i nie wstają z łóżka bez podparcia się „Bogiem, Honorem, Ojczyzną” – są w szoku, gdy w ramach edukacji seksualnej dzieciom i nastolatkom mówi się o mądrym używaniu tego, co mają między nogami. Mdleją z oburzenia na widok dwóch całujących się facetów – ale nie widzą nic obscenicznego w ogromnym monumencie epatującym śmiercią dzieci. Chłop przebrany za babę to upadek łacińskiej cywilizacji – za to ustawienie koło ruchliwej drogi szkaradziństwa suflującego nienawiść wobec innych, to powód do chwały i dumy z polskości.

To dziwaczne, bo mi wydaje się, że lepiej już obejrzeć kawałek dupy niż zbrutalizowane dziecięce trupy...

KAT

Sumienie bijące w partię

Mamy nowego Brutusa w PiS!

Drżycie „Suscy i inni z wianuszka pochlebców”! Drżij prezesie Kaczyński! Ardanowski nadchodzi!

W Polsce panuje nam demokracja parlamentarna, ale z polską specyfiką. Zauważcie, że wszystkie poważne partie polityczne mają demokratyczne statuty i jednocześnie krytykowanych za autorytaryzm przywódców. Krytykowanych zwykle w mediach i zwykle na podstawie relacji przekazywanych przez „anonimowych” partyjnych aktywistów.

Poseł Jan Krzysztof Ardanowski, reklamowany przez pravicowe tygodnik „Do Rzeczy” jako „sumienie partii” PiS, zrywa teraz z anonimowością.

I w tymże tygodniku śmierć polityczną partii Kaczyńskiego wieszczę. Mówi tam już odważnie, bez autocenzury.

W okopach Nowogrodzkiej

„Kolejne wybory przegrane przez PiS” to „efekt zarówno wewnętrznej struktury partii, jak i poważnych błędów, które popełniło Prawo i Sprawiedliwość”. I na nic zaklęcia partyjnych lizusów, że PiS miało w ostatnich wyborach parlamentarnych najlepszy wynik.

Ale okopane kierownictwo zamiast słuchać ekspertów, na aut ich wydało. Uważało, że poparcie społeczne można „kupić różnymi dotacjami przed wyborami”.

A przecież nie zawsze tak w PiS bywało. „Pierwsza kadencja PiS była udana” – wzdycha poseł Ardanowski. Dramat zaczął się w drugiej. PiS pograżył „desant różnej maści karierowiczów, tych tłustych kotów, czerpiących bez skrupułów profity z poparcia ze strony PiS” i w dodatku „nieponoszących żadnej politycznej odpowiedzialności za różne skandale i patologie wyciągane teraz przez ekipę Tuska”.

Niestety, krytyczny dziś Ardanowski nie ujawnia, czy będzie głosował za uchYLENIEM immunitetów tych „tłustych kotów” na razie „nieponoszących żadnej politycznej odpowiedzialności za przeróżne skandale i patologie”.

Wiatyk dla prezesa

„Trzeba powiedzieć wprost, że projekt polityczny, którym było Prawo i Sprawiedliwość, który pozwolił tej partii zdobyć władzę i utrzymać ją

przez dwie kadencje, w tej chwili jest schyłkowy. Ten projekt nie daje już szansy na na odzyskanie władzy” – analizuje poseł Ardanowski. I od razu uprzedza, że dyskutowana w PiS zmiana szyldu na „Biało-Czerwoni” nie uratuje tej partii. Nawet najbardziej związani z nią wyborcy nie dadzą się nabrać. Takie sztuczki to kolejny dowód, że to „okopane kierownictwo” oderwało się od społeczeństwa.

PiS jest partią przegraną, bo prezes Kaczyński robi to samo, co premier Tusk. Tusk doprowadził do przyszłego upadku swych koalicjantów, czyli Lewicę i Trzecią Drogę. A prezes Kaczyński wcześniej zniszczył swych koalicjantów, „wszystkie te mniejsze partie, które kiedyś wokół PiS orbitowały”.

Dziś nie ma dla Ardanowskiego żadnej świętości w PiS. Przypomina, że „w Prawie i Sprawiedliwości wytworzono przekaz, zgodnie z którym Kaczyński jest genialnym strategiem, człowiekiem przewidującym wszystko na wiele lat do przodu. Jeśli tak było, to

najważniejsza jest partia, a nie cele, które ona ma realizować”.

Wikt, opierunek, emerytura

I dlatego „sumienie partii” publicznie pyta aktywistów i wyborców PiS.

„Kto wie, jaki jest w tej chwili program Prawa i Sprawiedliwości, poza totalną krytyką, nawet w dużej mierze uzasadnioną, ekipy obecnie rządzącej Polską?”.

A wiedząc, że nikt tego nie wie i publicznie mu nie odpowie, znów odwołuje się do partyjnej nostalgii. Znow wzdycha, że kiedyś PiS miała wyraźny „program prospołeczny i patriotyczny”, oparty na „polskiej tradycji i katolickim dziedzictwie”. Kiedyś też PiS „akcentowała poparcie dla tych grup społecznych, które transformacja zepchnęła na margines”. Zwłaszcza ofiar „przekształceń w rolnictwie”.

I powtarza jak mantrę, że „samodzielne rządy PiS można między bajki włożyć, a koalicji z tą partią nikt nie chce”.

I znów pyta publicznie prezesa Kaczyńskiego i „jego akolitów”: czy chodzi im o „odzyskanie władzy i skierowanie Polski na tory rozwoju, oparte na aksjologii europejskiej”, czy chodzi o to, żeby „za każdym razem ilu swoich ludzi wprowadzić do Sejmu i Senatu”, żeby mieli tam „wikt i opierunek” i „w pewnym sensie fundusz emerytalny dla stających się działaczy partyjnej wierzchuszki”?

I znów odpowiedź jest jasna – w obecnym PiS wygrała strategia funduszu emerytalnego. Dowodem na to jest „tworzenie list wyborczych, gdzie biernych, miernych, ale wiernych obsadza się na preferowanych miejscach”. Ludzi zdolnych i kompetentnych, jak były eurodeputowany Jacek Saryjusz-Wolski, profesorów Legutko i Krasnodębskiego zastępuje się „takimi ludźmi jak Kamiński, Wąsik czy Jacek Kurski”.

Co robić?

Skoro Partia i prezes Kaczyński nie są zdolni do zwycięstwa, trzeba walczyć inaczej. Najpierw opracować ofertę dla ludzi „zdroworozsądkowych, o nastawieniu centrowym i konserwatywnym, odwołujących się także do tradycji chrześcijańskiej”.

Dla wszystkich uczciwych pravicowców i centroprawicowców rozczarowanych obecną sytuacją, ale też dla „aktywnych rolników i przedsiębiorców”.

Program odwołujący się do społeczeństwa ponad klasami społecznymi, eksponujący przede wszystkim problemy gospodarcze. Bo „nie tylko idee niepodległościowo-patriotyczne są ważne” – zauważa Ardanowski. Więcej gospodarki, mniej patriotycznego gładzenia, sugeruje.

Apeluje o jedność polityczną na prawicowej scenie politycznej. O za-

kończenie „totalnego ataku na Konfederację”. Zauważa, że konfederaci to „ludzie trudni i skomplikowani, bo to trzy różne środowiska trochę sztucznie ze sobą współpracujące, ale na pewno są to ludzie dobrze życzący Polsce”.

Podobnie razi go u prezesa Kaczyńskiego „cyniczna gra wobec PSL. Najpierw totalny atak, wręcz z żądaniem delegalizacji, a później umizgi, jakie to mamy prawicowe wartości”.

Pan poseł Ardanowski może teraz jawnie krytykować prezesa Kaczyńskiego i jego Partię, bo chce opuścić jej szeregi. Chce teraz integrować „rozproszone środowiska centroprawicowe.” I z nową formacją polityczną wystartować w najbliższych wyborach parlamentarnych. W przedterminowe wybory parlamentarne nie wierzy.

Szydło wyjdzie?

Już teraz nie wierzy też w wygraną w przyszłorocznych wyborach prezydenckich kandydata, „który będzie oficjalnie namaszczonej przez Kaczyńskiego”. „Bo wtedy – przestrzega – zadziała mechanizm anty-PiS”.

Dobry kandydat musi reprezentować „szersze środowiska, być może będzie to ktoś, kogo wskaże nowa partia” – albo partię – „które mają ratować kraj”.

PiS-owscy przeciwnicy Ardanowskiego twierdzą, że żadne z niego „sumienie partii”, tylko polityczny przeskokczek prezydenta Dudy. Znają się, bo był i jest prezydenckim doradcą.

Teraz Ardanowski ma zadanie stworzenie nowego koła poselskiego. Najpierw ze „spadów politycznych”, czyli Kukizowców i innych „wolnych elektronów”. Potem pewnie z PiSowskich dysydentów. Będzie wabił parlamentarzyistów „trzecich szeregów” jedynkami na przyszłych listach wyborczych nowej centroprawicowej koalicji.

Tej nowej formacji patronować ma prezydent Andrzej Duda. Poszukujący sensu życia po wygaśnięciu jego kadencji. Usilnie namawiany do dalszej politycznej działalności przez liczne grono jeszcze młodych pravicowych polityków. Zainteresowanych partią dążącą do zdobycia władzy, a nie partią funduszu emerytalnego.

Krytyki prezesa Kaczyńskiego mają też utorować powrót eurodeputowanej Beaty Szydło do krajowej polityki. To ją obóz prezydenta widzi jako namaszczonej przez Dudę kandydatkę w wyborach prezydenckich. Aby ta niedawna „królowa polskich serc” znów wygrała i wrzeszcze „pokazała pazurki” prezesowi Kaczyńskiemu.

Zanim to nastąpi, brutusek Ardanowski musi ubić politycznie, a przynajmniej osłabić, prezesa Kaczyńskiego. Zaczęło się.

PIOTR GADZINOWSKI



„Skoro PiS nie potrafiło stworzyć rządu, to wybory przegrało”.

Co gorsza nie tylko parlamentarne. Również potem samorządowe i europejskie.

Przegrało, bo PiS-em rządzi ludzie, którzy „okopali się w Warszawie” i stanowią tzw. kierownictwo. Okopani olewają już wszystkich. Nie słuchali „wybitnych intelektualistów zyczliwych prawicy”, jak profesor Andrzej Nowak ani przestróg środowiska związanego z klubem Ronina. Owi zyczliwi apelowali od miesięcy o „zmianę przywództwa” w PiS, o „otwarcie się na nowe środowiska”, o „strategię dla młodzieży”, o nowe „podejście do rolników i wzmocnienie ich pozycji rynkowej”.

JA PIERDOŁĘ!



Sam powinien zrozumieć, że czas jego przywództwa, bezpośredniego wpływania na funkcjonowanie partii, dobiegł końca.

Kaczyński powinien zostać honorowym prezesem, który zachowywałby wpływ na swoją formację tak długo, jak by żył i pozostawał w pełni władz umysłowych. Jednak prezes Kaczyński traktuje PiS jak prywatną partię. Zresztą wielokrotnie podkreślał, że dla niego

Dziadersi mniejszego zła

Które życie jest świętsze?

Do tej pory w bezkarnym strzelaniu do ludzi specjalizowali się faszyci lub podobne reżimy. Okazuje się, że teraz wystarczy być liberałem, względnie średnio radykalnym konserwatystą, by uchylać prawa zezwalające na bezkarne strzelanie do człowieka. I dzieje się to we w miarę cywilizowanym, uważającym się za demokratyczne państwie, którego czynownicy mają gęby pełne Boga, Wartości, Honoru i różnych takich.

Doprawdy trudno zrozumieć, co roi się w głowach naszych polityków. Jakimi drogami biega ich myśli? Gdzie jest ich człowieczeństwo, gdy stanowią prawo? Kiedy w piątek 12 lipca sejm debatował nad ustawą o użyciu broni, zapewne mało kto spodziewał się, że zostanie ona przyjęta tak gładko i przy takiej jednogłośnie – aż 401 posłów z różnych ugrupowań głosowało „za”, a „przeciw” ośmieliło się być jedynie 14 posłów Lewicy (w tym wszystkie kobiety) i trzech z Koalicji Obywatelskiej. Konfederacja wstrzymała się od głosu. Nie dlatego jednak, by generalnie była przeciwna, ale dlatego, że chciałyby pójść jeszcze dalej – dla konfiarzy rządowe przedłożenie jest zbyt lajtowe, by zasługiwało na poparcie.

Przypomnijmy, że tzw. ustawa o użyciu broni to poprawki do innych ustaw wprowadzane „w celu usprawnienia działań Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, Policji oraz Straży Granicznej na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa państwa”. Naprawdę zaś chodzi o to, by wojsko, policja i straż graniczna mogły używać broni na granicy państwa i nie ponosić za to żadnej odpowiedzialności.

Ustawa jest uchwalana w obliczu konkretnej sytuacji na wschodniej granicy, ale jej działanie – jeżeli ostatecznie wejdzie w życie w obecnym kształcie (aktualnie trafiła do senatu) – nie będzie ograniczone tylko do „tu i teraz”. Będzie obowiązywać nadal i wszędzie, nawet jeżeli napięta sytuacja na granicy z Białorusią zostanie rozwiązana. Bo odnosi się ona już teraz nie tylko do granicy państwa – choć uważa skupiona jest głównie na granicy ze względu na to, że zginął tam żołnierz – ale także „obiektów infrastruktury krytycznej, bezpieczeństwa ludzi lub mienia w znacznych rozmiarach”.

Prawnicy z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, Krakowskiego Instytutu Prawa Karnego i Uniwersytetu Jagiellońskiego nie zostawili na ustawie suchej nitki, wskazując, że jest ona niezgodna i z konstytucją, i z Konwencją o Ochronie Praw Człowieka. Daje bowiem możliwość użycia broni nie tylko w obronie życia lub zdrowia funkcjonariusza, czy też dla „przeciwdziałania czynnościom

zmierzającym do zamachu”, ale także wobec „konieczności przeciwstawienia się osobie niepodporządkowanej się wezwaniu do natychmiastowego porzucenia broni, materiału wybuchowego lub innego niebezpiecznego przedmiotu”. Hmmm, jeżeli więc jakiś żołnierz na granicy uzna, że „niebezpiecznym przedmiotem” jest parasolka w dłoni próbującej pomagać uchodźcom aktywistki, którą służby państwowe będą próbowały usunąć (aktywistkę, nie parasolkę) – jak to już w przeszłości bywało – to wójak ze spokojem sumienia odstrzeli jej łeb?

Nie oszukujmy się: do służb mundurowych nie trafiają wyłącznie szlachetne osobowości pełne współczucia dla krzywdy drugiego człowieka, przepełnione miłością bliźniego i bezwzględnie trzymające się prawa. Trafiają tam także osobowości patologiczne, a jeżeli nawet nie, to z dużymi szanami na to, że po dłuższym obcowaniu z państwowym aparatem siły patologicznymi się staną. Dość tego dowodów było w ostatnich latach, jak choćby słynna sprawa zamęczenia Igora Stachowiaka we wrocławskim komisariacie policji w maju 2016 r. (potwierdzona prawomocnymi wyrokami sądowymi) czy też nadużycia podczas ulicznych łapanek i represji w związku z LGBT-owskim protestem w Warszawie przeciw zatrzymaniu aktywistki Margot w sierpniu 2020 r. (potwierdzona przez Krajowy Mechanizm Zapobiegania Torturom). A zachowanie funkcjonariuszy podczas licznych za poprzed-

niej władzy obywatelskich protestów? Nie pamiętacie już potraktowania Babci Kasi?

No dobrze – powiecie – ale to nie działo się na granicy i jakkolwiek funkcjonariusze nieco przesadzili, nikt nikomu łba nie odstrzelił. W porządku, ale kto nam zagwarantuje, że jakaś kolejna władza, brunatniejsza od obecnej – a taka przecież może się trafić – nie dokona którejś sejmowej nocy drobnych poprawek w ustawie? Już teraz dąłoby się od biedy usprawiedliwić strzelanie np. podczas ulicznych manifestacji, a naprawdę niewiele trzeba by zmniejszyć, by funkcjonariusze mogli walić do ludzi jak do kaczek codziennie, na każdej ulicy, jeżeli tylko poczują się zagrożeni. Przepis bowiem nie precyzuje w żaden sposób, kto ma dokonać oceny, czy użycie broni może nastąpić, czy nie. Pozostawia to – jak należy rozumieć – do subiektywnej oceny każdego funkcjonariusza. A jeżeli tak, to może być naprawdę nieswoło.

Co ciekawe, tego samego dnia w sejmie przepadł projekt ustawy o częściowej depenalizacji aborcji, wprowadzającej niekaralność za pomoc w przerwanie ciąży do 12. tygodnia. W tym przypadku nie było aż takiej jednogłośnie (ustawa przepadła zaledwie trzema głosami) i wiadomo już, że w KO poleciały za to głowy. Tak czy inaczej, w obliczu świętości życia nienapoczętego, życie narodzone swą świętość straciło.

Choć projekt ustawy o użyciu broni jest rządowy, to powstał w Ministerstwie Obrony Narodowej, czyli w gawrze pierwszego chłopca III RP, Kosiniaka-Kamysza Władysława z PSL. A w jego obronę bardzo zaangażował się – łajac lewicowe posłanki przez radio – Marek Sawicki (również z PSL), znany ostatnio z nieprzejednanej negatywnej postawy

Błogosławieństwo zapomnianej skrobanki

Dziwne, że ktoś dziwi się, że w sejmie nie przeszła depenalizacja pomocy przy aborcji.

Obowiązujące w Polsce przepisy aborcyjne wyrosły na najtwardszym podłożu – hipokryzji. A ponieważ nikt się do niej nigdy nie będzie chciał przyznać, to żeby zgodnie z prawem pozbyć się ciąży, Polki jeszcze przez lata będą musiały Polskę opuszczać.

Olaboga!

Portale katolickie często epatują takim obrazem: „Halina ma 44 lata, jest przekonana, że zmarnowała życie. Uważa, że wszystko straciła przez swojego męża. Czasem, gdy siedzą wieczorem przed telewizorem, Halina wpada we wściekłość, krzyczy i wymyśla mu od najgorszych fałdaków. Potem płacze. Bierze leki na uspokojenie, ale to przynosi niewielką ulgę. Sięga po alkohol i pije razem z mężem. 22 lata temu, gdy zawierali związek małżeński, byli parą, która przede wszystkim pragnęła się dorobić. Gdy Halina zaszła w ciążę, mąż namówił ją, aby usunęła – uznali, że nie mają teraz dla dziecka odpowiednich warunków. Za rok i za dwa było podobnie, Halina usunęła nieurodzone dzieci jeszcze dwa razy. Gdy w latach 90. zapewnili sobie niezły standard materialny, zapragnęli, aby urodziło się dziecko. Teraz jednak okazało się, że Halina nie może donosić ciąży, kilkakrotnie samoczynnie poroniła. Halinę co jakiś czas ogarnia depresja, całymi dniami nic nie mówi, patrzy beznamiętnie w sufit, ma ogromne poczucie winy, wie, że zrobiła coś bardzo złego i nie wie, jak z tym dalej żyć. Przypadek Haliny medycyna określa jako „syndrom poaborcyjny”.

Jak komuś nie pasuje Halina, to poczyta sobie o Annie, która „była studentką, gdy pozbyła się niechcianej ciąży. Była z mężczyzną, którego kochała, chcieli dłużej cieszyć się wspólną wolnością. Dzisiaj nie ma dziecka, jej związek się rozpadł. Najgorzej jest, gdy przychodzą rocznice – ta dokonania zabieg i dnia spodziewanych narodzin dziecka. Nocami budzą ją koszmarne sny, leczyla się psychiatrycznie, lęki jednak nie mijały. Przestała jeść, lekarze podejrzewali anoreksję. Reaguje agresją, gdy słyszy płacz niemowląt. Anna, mimo że nie ma jeszcze 30 lat, jest przekonana, że zmarnowała życie”.

Jeśli ktoś nie wierzy przykładom jednostkowym, to przykościelne media mają coś i dla niego. „Badania naukowe pokazują, że aborcja nie tylko zadaje śmierć dziecku, nie tylko ma kolosalne

znaczenie dla zdrowia psychicznego i fizycznego kobiety, ale dotyka całego społeczeństwa. Z badań wynika, że 80 proc. badanych par rozpadło się po dokonaniu aborcji, wśród nich znaczna część to małżeństwa.

W tragedii aborcyjnej uczestniczą wcześniejsze lub kolejne dzieci urodzone przez matki, które dokonały aborcji. Ma to niezwykle duży wpływ na ich rozwój, przecież w ich rodzinie dokonano rzeczy strasznej.

Stwierdzono np. także związek między aroganckim odnoszeniem się lekarzy i pielęgniarek do pacjentów a tym, że dokonywali oni zabijania dzieci nienarodzonych czy asystowali przy tym”.

Osoby, które nie straciły zaufania do lekarzy, czytają zaś na wyznaniowych stronach, że „medycyna wyróżnia dwa zespoły rozpacz poaborcyjnej. Pierwszy – PAD (termin angielski post-abortion distress) – to krótkotrwałe, trwające do sześciu miesięcy załamanie psychiczne. Następuje kilka tygodni po aborcji. Objawia się głównie bólami psychicznymi i fizycznymi. Dużo bardziej groźny jest PAS (post-abortion syndrom). Jest to zaburzenie chroniczne, o wielu objawach. Najpoważniejszą konsekwencją aborcji jest bezpłodność, nie wyczerpuje ona jednak listy zaburzeń somatycznych. Przy powtórnej ciąży u kobiet dotkniętych PAD i PAS znacznie częściej niż u kobiet, które nie dokonały aborcji, następują ciążę pozamaciczne (ciążę taką trzeba usunąć), przedwczesne porody, zakażenia bakteryjne, odklejenie łożyska”...

Płód kształtuje świadomość

Tekstów tego typu w internecie jest mnóstwo. Podobnymi danymi i przykładami od ponad 40 lat posługują się w swoich kazaniach księża. Katecheci uchylają je na lekcjach religii. „Publicyści” i „eksperci” wtłaczają je w swoich perorach medialnych.

Tymczasem czegoś o nazwie zespół lub syndrom poaborcyjny nie ma w żadnym oficjalnym wykazie chorób. Nie uświadczy się go w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób, nie ma go też w NFZ-owskim wykazie dopadających pacjentów przypadłości. Z psychiatrycznego punktu widzenia syndrom poaborcyjny jest zatem bytem równie realnym, jak prawdomówność Daniela Obajtki.

Przez ostatnie 45 lat na świecie przebadano psychiatrycznie i psychologicznie tysiące kobiet, które usunęły ciążę. Wyniki są jednoznaczne. Aborcja nie jest skorelowana z wyższym ryzykiem chorób psychicznych i ich nie powoduje. Stwierdzono, że depresja występuje częściej w przypadku niechcianych ciąż, niezależnie od tego, czy zostały przerwane. Nie istnieje zależność pomiędzy dokonaniem aborcji, a zdrowiem psychicznym po wielu latach od zabiegu.



leczył wrzodu i kazał jej iść do psychiatry. No i okazało się, że kobieta ma głęboki żal i złość do siebie o te usunięte dawno temu ciążę. W momencie, gdy została sama, cały ból związany z aborcją powrócił, bo gdyby choć jedno z tych dzieci żyło, teraz nie byłaby tak samotna. Psychologów opowieść ta bawi dlatego, że mamy do czynienia z klasycznym przykładem doszukiwania się na siłę przez pacjentkę przyczyn tego, że jest sama i źle się z tym czuje. No i wymyśliła sobie, że to z przerwania ciąży. Profesjonalizm nakazałby terapeutę jak najszybsze odwołanie się od tego typu myślenia. Jak widać, nie każdemu terapeutę.

Spadkobiercy idei Kalego

Nie jest oczywiście tak, że po wszystkich kobietach przerwanie ciąży splota jak po kacze. Nie na darmo od kilkudziesięciu lat kościelna propaganda robi co może, by w kobiecie dokonującej zabiegu wywołać jak największe poczucie winy. Od dziecka dziewczynki są atakowane na lekcjach religii jak nie „Niemy krzykiem”, to albumami z fociami wyabortowanych płodów. Po takiej wizualizacji mózg młodej kobiety jest już wystarczająco przygotowany na to, by – gdy jest zmuszona do aborcji – poczuła się jak dzieciobójczyni.

W cudny sposób pokazują to zjawisko badania przeprowadzane w krajach, gdzie pro-liferzy nie mają zbyt wiele do powiedzenia – i w takich jak Polska. Wyniki są przerażające. Tam, gdzie przerwanie jest neutralne etycznie, poczucie winy wśród aborjonistek jest marginalne. Tam, gdzie wmówiono im dzieciobójstwo – sięga nawet 20 proc.

Jeszcze śmieszniej wyglądają argumenty miłośników syndromu poaborcyjnego dla ginekologów. Jak czytają o wywołanych zabiegami ciążach pozamacicznych, przedwczesnych porodach, zakażeniach bakteryjnych czy odklejaniu się łożysk, to skracają się ze śmiechu. Z tego oto prostego powodu, że zjawiska te przy dzisiejszym stanie ginekologii nie mają prawa mieć nic wspólnego z aborcją. Ta z kolei nawet w Polsce najczęściej polega na podaniu pacjentce medykamentów, które spowodują, że organizm sam usunie ciążę. A gdyby się nie udało, to ginekolog nie skrobie łyżeczką wewnątrz macicy, tylko zasysa paromilimetrový zlepek komórek czymś w rodzaju miniodkurzacza. Przy tej metodzie nie ma kaleczenia wyściółki, które kiedyś mogłoby zaowocować bezpłodnością czy odklejeniem się czegośkolwiek.

Badania opinii społecznej pokazują, że panie od sześćdziesiątki wzwyż w znakomitej większości aborcji są przeciwnie. Co dla historyków jest zastanawiające. Ich badania pokazują bowiem, że z prawa do aborcji, wprowadzonego w 1956 r., korzystały setki tysięcy niewiast rocznie. Usuwanie ciąży było bowiem wówczas najpopularniejszym i najskuteczniejszym środkiem antykoncepcyjnym. Część historyków uważa, że w latach 70. i 80. cztery na pięć Polek poddało się choć jednej aborcji. Na przełomie lat 70. i 80., gdy rodziło się u nas grubo ponad pół miliona dzieci rocznie, gabinety ginekologiczne wykrobywały drugie tyle.

Dziś te panie są już wiekowe, a wieloletnie pranie ich mózgów przez kościelnych pro-liferów zrodziło miliony przypadków ciężkiej hipokryzji. Staruszki, o których ich koleżanki mówią, że biegały do gabinetu co kilka miesięcy, dziś robią za etyczne wyrocznie piętnujące zabijanie dzieci poczętych.

Panie te nie wpadały kiedyś same; usuwały ciążę, bo tak chcieli ich facci. Ci sami, którzy dziś robią za miłośników Kościoła i elektorat PiS. Nobliwi starcy, którym zmarszczki dodają wymiaru dostojności, prawdomówności i etycznego autorytetu.

Hipokryzja milionów przekłada się na hipokryzję setek. Tym razem polityków. Tak z Konfederacji, jak z PiS, czy PSL, nie zapominając o ludziach Hołowni, a nawet tych z KO czy Lewicy. Im wszystkim aborcja zwisa zwiędłym kalaforem. Są przeciw tylko dlatego, że tak chce ich zakłamaną elektorat. O aborcji na życzenie będzie można więc pomyśleć dopiero, gdy padół ten opuszczą miliony ludzi, dla których usunięcie ciąży było niegdyś nie traumą, ale błogosławieństwem.

TADEUSZ JASIŃSKI

wobec ustawy o związkach partnerskich. Obaj zresztą głosowali solidarnie przeciwko ustawie o depenalizacji aborcji.

A więc jest tak: o naszym losie wciąż decydują facci, którym przeszkadza, że dwie kochające się osoby zawrą związek partnerski z pełną ceremonią w urzędzie stanu cywilnego, przyjmą wspólne nazwisko i przysposobią dzieci partnera. Albo że każda kobieta, która chce, legalnie pozbędzie się ze swojego ciała czegoś o wielkości i cechach lekko niedorozwiniętej kijanki. I że ani ona, ani ktokolwiek, kto jej w tym pomaga, nie pójdzie pierdzieć w pasiaki. Jednocześnie tym samym facetom absolutnie nie przeszkadza, że jakiś wojak lub policjant otworzy ogień do całkiem rozwiniętego człowieka tylko dlatego, że sam (być może w wyniku emocjonalnego niezrównoważenia, co przecież jest cechą większości współczesnej populacji) poczuje się zagrożony. Oni nie widzą w tym niczego sprzecznego. No cóż, pewnie dlatego wali od nich na kilometr patriarchalnym dziaderstwem.

Zastanawiająca jest w tym wszystkim postawa Donalda Tuska. Jego europeizacja przebiegała do tej pory w miarę pomyślnie, ale wydaje się, że w piątek 12 lipca nieco się zatrzymała. Czy naprawdę premier rządu dużego europejskiego państwa – będącego w strukturach Unii Europejskiej i NATO – nie ma innego pomysłu na rozwiązanie problemu uchodźców na granicy niż strzelanie do ludzi? Jeżeli nie ma, to może nie jest to „ten” premier, a tylko mniejsze zło? W każdym razie też dziaders.

EDYTA BAKER

MÓZDZEK TYGODNIA

Nie Kaczyński, który powiedział dziesięcioletniej tiktokerce Sarze, że wolność nie jest dla dzieci.

Nie Duda, który w Waszyngtonie narzekał na rząd niedołęgów i złodziei.

Mózdzkiem w tym tygodniu jest lider tego rządu, Donald Tusk, który popełnił żenujący falstart, pisząc w mediach społecznościowych: „Będziemy głosować za depenalizacją aborcji i związkami partnerskimi jako projektem rządowym”. I potrząsnął szabelką: „Kończymy dyskusję, czas na decyzję”.

Jak wiadomo, decyzja zapadła taka, że depenalizacja w sejmie nie przeszła, a jednym z symbolicznych

sprawców tej wpadki został dwumetrowy facet, o którym przed rokiem Tusk mówił: „Roman Giertych nie będzie wpływał na naszą politykę dotyczącą edukacji czy praw kobiet. On ma swoje poglądy, ja nie chcę, żeby ktoś zmieniał swoje poglądy. On dzisiaj publicznie zadeklarował, wcześniej się zobowiązał wobec mnie: jeśli wejdzie do parlamentu, jeśli będziemy go chcieli mieć ze sobą, będzie przestrzegał dyscypliny w głosowaniu”.

Tusk uwierzył Giertychowi, gdy mówił, że wyszedł już z katolickiego kołtuństwa, tylko zapomniał dodać, że katolickie kołtuństwo nie wyszło z niego.



Schizmofrenia

Biskup, który się papieżowi nie kłania.

Mamy wreszcie porządnego heretyka. Codziennie ktoś występuje przeciwko papieżowi, ale zazwyczaj są to wystąpienia na tyle nieistotne, że poza najbliższymi występującego nikt o nich nie wie – a już zwłaszcza papież. Tym razem mamy do czynienia z hierarchą pierwszoligowym, który zakwestionował władzę obecnego Białego Ojca z Watykanu i znalazł się poza boiskiem.

Nie awansuje, nie uznaje

Carlo Maria Viganò – bo o nim mowa – na początku lipca został ekskomunikowany. Dykasteria Nauki Wiary, następczyni Inkwizycji, po niepublicznym procesie ogłosiła wyrok. Jest on łagodniejszy niż w najświetniejszych latach Świętej Inkwizycji, bo arcybiskup ocali życie. Nie będzie za to członkiem Kościoła kat., chyba że się ukorzy, uzna swoje błędy i wróci na drogę katolickiej ortodoksji. Ale na to się nie zanosí.

Abepe Viganò jest oskarżony o schizmę. Został obłożony ekskomuniką *latae sententiae*, czyli następującą automatycznie po czynie. Jak podaje Vatican News „o winie abp Viganò świadczą jego publiczne wypowiedzi, w których nie uznaje on obecnego Papieża, narusza komuniję z innymi członkami Kościoła oraz kwestionuje prawowitość i władzę Soboru Watykańskiego II”. Mimo wezwań nie stawiał się na dywanik do Watykanu, bo nie uznaje jego zwierzchności.

„Nie uznaję autorytetu trybunału, który twierdzi, że mnie osądza. Ani jego prefekta, ani tego, który go powołał” – skomentował ekskomunikowany hierarcha.

Watykańska ekskomunika pobudziła nieco przegaszającą popularność zbuntowanego przeciwko Franciszkowi purpurata. Carlo Maria Viganò ma 83 lata, więc na dalszą karierę w kościelnych strukturach i tak nie miał co liczyć. Nie zostałby już kardynałem – co mu się podobno kiedyś marzyło – i przez to, że nie został, jeszcze bardziej zniechęcił obecnego papieża. Zresztą nawet gdyby przywdział purpurę, i tak nie miałby prawa udziału w konklawe, bo jest po osiemdziesiątce. Nie mogąc liczyć na zaszczyty i posłuch w głównym nurcie Kościoła popłynął pod prąd, atakując samego szefa instytucji, której przez lata wiernie służył.

Dyplomata spod ręki Wojtyły

Viganò, choć emeryt, to nie był kmiotek, którego można zignorować. Przez wiele lat pracował w watykańskiej dyplomacji, a przed emeryturą był nuncjuszem w Stanach Zjednoczonych. To na ten okres przypada początek jego sporu z Rzymem, którego ostatnim aktem jest lipcowa ekskomunika. Wcześniej jednak, za poprzednich papieży, świeżo upieczony herezjarcha piął się po szcze-

blach kościelnej kariery i nie pyskował. Na biskupa wyświęcił go w 1992 r. sam JP2, a towarzyszył mu kard. Franciszek Macharski, czyli następca Wojtyły w Krakowie, oraz kard. Angelo Sodano – ówczesny sekretarz stanu, watykański premier, jedna z mroczniejszych postaci XX-wiecznego Kościoła. Można powiedzieć że Polska ma mocny wkład w nowego schizmata.

Za pontyfikatu Benedykta XVI podjął się karkołomnej misji uzdrowienia watykańskich finansów. Udało mu się – wyprowadził centralę Kościoła z deficytu, czym zyskał sobie łaskę Ratzingera, ale popadł w niełaskę tych, którzy na papieskiej kasie żyli jak pączki w maśle.

W dość specyficzną, ale jednak nagrodę, w 2011 r. został mianowany nuncjuszem w USA. Pozbyto się go z Rzymu, dając bardzo dochodową i prestiżową placówkę.

Po wyborze Franciszka zaczęło mu być coraz bardziej nie po drodze z główną siedzibą firmy. Krytykował linię obecnego pontyfikatu jako zbyt liberalną i odchodzącą od tradycyjnej doktryny. Przysporzyło mu to sporo fanów, bo Franciszek od początku rządów ma wielu zajadłych krytyków. Viganò stał się ich mocnym głosem.

Kościół amerykański jest silny i bogaty, ale podzielony. Znałe nam z naszego podwórka podziały na „otwartych” i „zamkniętych” katolików to przedszkolne przekomarzanki przy tym, co dzieje się w Ameryce. Tamtejsi wierni dzielą się praktycznie na dwa odrębne Kościoły, których członkowie nie mają ze sobą nic wspólnego. Liberalni mają swoje media, parafie, księży i biskupów, konserwatywni – swoje. Konserwatyści – w najlepszym wypadku – traktują Franciszka z rezerwą, albo w gruncie rzeczy poglądy mają takie jak Viganò: że obecny papież jest uzurpatorem i fałszywym prorokiem.

Tęczowi kontra twardogłowi

O abepe Viganò zrobiło się głośno, gdy w 2018 r. publicznie wezwał Bergoglio do abdykacji. Atakował wówczas papieża za zaniedbania w sprawie byłego już kardynała i byłego księdza Theodore’a McCarricka, oskarżonego o przestępstwa seksualne. Zarzucał mu bierność i uleganie „gejowskiemu lobby”. Watykan opublikował po tych oskarżeniach obszerny raport, w którym wykazywano, że sam Viganò nie był w tej sprawie święty i próbuje odwrócić uwagę od własnych grzechów.

Po tej kłótni i przejściu na emeryturę Viganò już się nie szczypał i nie przebiegał w słowach mówiąc o Franciszku. Stał się też idolem amerykańskiej prawicy i tych katolików, którzy mają na pieńku z argentyńskim papieżem. Po ogłoszeniu ekskomunikacji prominentni przedstawiciele kościelnej konserwy wzięli go w obronę, wyrzucając Franciszkowi, że toleruje „tęczowych”, a konserwatystów tępi.

Oskarżenia o herezję są wzajemne. „Znajdujemy się w dziwnym momencie w historii Kościoła, gdy arcybiskup Viganò zostaje szybko ekskomunikowany, podczas gdy Theodore McCarrick pozostaje bez ekskomunikacji po latach ujawniania jego zbrodni przeciwko Kościołowi” – napisał Joseph Strickland, kolejny z antyfranciszkowych biskupów, w ubiegłym roku odwołany z urzędu za nieprawidłowości w zarządzaniu finansami diecezji.

W obronie ekskomunikowanego stanął też reżyser Mel Gibson, który kręci drugą część przygód Jezusa pt. „Pasja 2”. „Oczywiście, bycie nazwanym schizmatykiem i ekskomunikowanym przez Jorge Bergoglio to honor, biorąc pod uwagę, że jest on całkowitym odstępcą. Nie ma on prawa cię ekskomunikować, ponieważ nie jest katolikiem. Więc raduj się! Jestem z tobą i mam nadzieję, że Bergoglio ekskomunikuje mnie również ze swojego fałszywego Kościoła” – napisał Gibson w liście do arcybiskupa. Historię na kolejny film już ma.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Nowe informacje w sprawie ks. Tomasza K. z parafii w Rzejowicach koło Radomska (woj. łódzkie), który pod koniec czerwca z powodu posmakowania etanolu zasnął w trakcie pogrzebu. Wobec duchownego od flaszki toczy się w Częstochowie proces kanoniczny o molestowanie nastolatki. Do wykorzystania małoletniej miało dojść przed laty, ofiara miała 13 lat. Klecha miał ją m.in. całować, przytulać, oraz dotykać w intymnych miejscach podczas indywidualnych spotkań na plebanii. Molestowana zgłosiła sprawę już jako dorosła kobieta. Po dwóch latach śledztwa prokuratura stwierdziła, że owszem, doszło do kontaktów o charakterze seksualnym, ale nie uznała tego za przestępstwo. W uzasadnieniu napisano, że dziewczynka była całkowicie świadoma łączącej ją z księdzem relacji. Oddzielne postępowanie wszczęła jednak częstochowska kuria. Kiedy w styczniu 2023 r. rozpoczęło się wstępne dochodzenie kanoniczne, księdzka nie odsunęto od obowiązków w parafii. W maju tego roku natomiast rozpoczął się kanoniczny proces Tomasza K. Mieszkańcy Rzejowic w rozmowach z mediami podkreślają, że były proboszcz był dobrym człowiekiem, tylko chlał. Zdarzyło się, że pijany przewrócił się przed ołtarzem, a nawet spowodował kolizję drogową, ale to były drobniaki, a „naprawdę strasznie” miało być od roku. Taki proboszcz to skarb.

➤ Wracamy do sprawy księdza Mateusza N., którego w czerwcu tego roku sąd we Wrześni skazał nieprawomocnym wyrokiem na dwa lata i cztery miesiące bezwzględnej więzienia za kilkakrotne doprowadzenie 13-letniego ucznia i ministranta do „poddania się innej czynności seksualnej”. Do przestępstwa doszło, kiedy N. był proboszczem w Kostrzynie pod Poznaniem i uczył religii w miejscowej podstawówce. Gdy do sądu trafił akt oskarżenia, kuria metropolitalna co prawda od-

wołała duchownego z funkcji proboszcza, ale natychmiast mianowała dyrektorem metropolitalnym domu księży emerytów. Nie bez znaczenia był fakt, że księźdzo jest bliskim krewnym poznańskiego biskupa pomocniczego Grzegorza Balcerka. Po zapadnięciu wyroku księdzka pedofila stracił z intratnego stołka poznański metropolita abepe Stanisław Gądecki, lecz pomimo tych nieprzyjemności klecha wciąż pozostaje pod troskliwą opieką kurii. Ks. N.

nie tylko nadal mieszka w domu księży emerytów, ale na jego utrzymanie składają się wszyscy wierni. Wszystkim życzymy prędkiego uprawomocnienia się wyroku.

➤ Watykan stracił cierpliwość do metropolity krakowskiego Marka Jędraszewskiego i zablokował dwie jego decyzje z ostatniego miesiąca. Pierwsza to odwołanie i wyrzucenie z parafii mariackiej księdza Dariusza Rasia, druga – próba przejścia kapituły katedralnej na Wawelu. Kapituła katedralna to grupa kapłanów, którzy zarządzają majątkiem kurii wartym kilkaset milionów złotych. Jędraszewski nie był zadowolony ze współpracy z instytucją i narzucił jej swojego zwierzchnika. Wyrzucenie księdza Rasia z parafii mariackiej również było pokazem siły. Baron krakowski kościoła chciał w ten sposób zabezpieczyć dupę i zachować wpływ na decyzje w diecezji po odejściu na emeryturę. Zwykle werdykty Watykanu mamy w pompie, ale ta nas akurat rozpromieniła.

➤ Michał O., ksiądz egzorcysta od salcesonu i przekrętów z kasą z Funduszu Sprawiedliwości, doprowadził do furii Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jej szef plk Rafał Syrysko napisał w oświadczeniu przekazanym PAP: „W związku z publikacjami prasowymi i wypowiedziami osób publicznych zarzucającymi funkcjonariuszom ABW stosowanie tortur wobec zatrzymanego księdza Michała O. poprzez odmówienie dostępu do jedzenia i picia, możliwości skorzystania z toalety, a także wystawienia na widok publiczny w celu poniżenia oświadczam, iż są one nieprawdziwe i narażają dobre imię funkcjonariuszy realizujących czynności zatrzymania”. Na deser plk Spytko zapowiedział, że rozważy podjęcie kroków prawnych wobec osób, które te koczopoty kolportują. Historia nie w mąkę pierdział, wszak, jak wiadomo, że służbami – podobnie jak z prasą – lepiej nie zadzierać.

KLECHA

Więści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

I SPRAW PANIE,
ABY USTAWA O ZWIĄZKACH
PARTNERSKICH PRZESZŁA!

Rys. OBYWATEL JANEK



Rys. OBYWATEL JANEK

Rys. MIROSLAW HAJNOS

PLURALIS MAIESTATIS

Żar lewaków

Kilka tygodni temu Komitet Problemowy ds. Kryzysu Klimatycznego przy Prezydium PAN opublikował komunikat: „Jest bezdyskusyjne, że to człowiek poprzez emisję gazów cieplarnianych spowodował ocieplenie globalne (...). Dla Polski globalne zmiany klimatu oznaczają fale upałów, gwałtowne zjawiska pogodowe oraz susze w kluczowym dla bezpieczeństwa żywnościowego i przetrwania ekosystemów naturalnych okresie wegetacyjnym”. Cóż, wyglądam za okno... Nie pomylił się.

Nasz były kolega redakcyjny zalinkował na FB artykuł o zmianach klimatycznych, oparty także na powyższym komunikacie i został zjebyany przez komentatorów. „Lewactwo nieukom wszystko wmówi, tak jak to, że jest energia odnawialna. Cóż już Goebbels mówił »klamcie aż ludzie uwierzą«” – napisał niejaki Leszek Kulon, dodając złowieszczo: „Europa się cofnie w rozwoju przez lewackie bzdury”. Należałoby panu Kulonowi (zresztą nomen omen epizodyście w serialu „Lombard – życie pod zastaw”) i jemu podobnym wyjaśnić, że te same „lewackie bzdury” promuje Kościół.

Dopiero co minęła dziewiąta rocznica opublikowania przez papieża Franciszka „Laudato si” – tzw. zielonej encykliki poświęconej odpowiedzialności katolików i wszystkich ludzi dobrej woli za Ziemię oraz wszelkie stworzenia, rośliny, rozenków, kulonów, prawaków, lewaków – co tam jeszcze znajdziecie... Co ważne, była to druga encyklika latynoskiego papy od czasu, kiedy wstąpił na watykański stolec.

W Polsce promowaniem tej myśli zajmuje się ojciec Stanisław Jaromi, przewodniczący Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu. Napisał on: „Jako ludzkość wyparliśmy wszystko, co nam przeszkadzało, osuszając, wycinając, betonując, asfaltując... niszcząc całe bogactwo Bożego Stworzenia”. I dodał: „Tam gdzie ludzie są uciskani, tam na ogół bezmyślnie eksploatuje się przyrodę, a wojna jest jedną z największych katastrof ekologicznych. I odwrotnie: niszczenie przyrody niesie ze sobą niszczenie wspólnoty ludzkiej. Często z eksploatacją przyrody łączy się nadkonsumpcja, niesprawiedliwy podział dóbr, ucisk biednych, rasizm, seksizm, poniżające traktowanie kobiet, dzieci czy niektórych grup społecznych”. (Stanisław Jaromi „Boska Ziemia”, Znak, Kraków 2019). Nie wiem jak Państwu, ale mi to brzmi po lewacku.

Nie wiem również jak Kraków, miasteczko w sumie nieduże, mieści obok siebie franciszkanina i ekologę Stanisława Jaromi i arcybiskupa Marka Jędraszewskiego. Ten drugi przygotowuje sobie emeryckie Castel Gandolfo – przy ulicy

Warszawskiej 1B. Na razie, dosłownie z dnia na dzień, wysiadano z tego adresu poprzednich duchownych lokatorów. Parafii św. Floriana, bo o niej mowa, towarzyszy piękny i rozległy ogród, dotychczas dostępny dla wiernych i dla strażackich imprez, bo patronem strażaków jest właśnie św. Florian. Mnie się wydaje, że za jakiś czas imprezować będzie tam już tylko Jędraszewski otoczony zombiakami ze starego polskiego Kościoła.

Tymczasem zubożeni Polacy wyprzedają na potęgę ogródki działkowe oraz promują tzw. balkoning. Sęk w tym, że wylegujący się na balkonach przejęli termin, który narodził się w roku 2010 na Majorce i Ibiza. Wtedy lwy turystyczne z Europy zaczęły skakać na główkę z hotelowych pokoi wprost do basenów... A jeśli basenu zabrakło, to zabrały się do radosnego kicania z balkonu na balkon. Cóż, upa!... Uprzejmie informuję, że 14 lat później u nas jest gorąco jak w Piekło. Ale w ogóle nie ma kryzysu klimatycznego, prawda?

IZABELA SZOLC

Opoka niewierzących

Boga nie ma i ateistów też.

Nikt nie zatroszczy się o ateistów tak jak katolicy. Nie zatroszczy się o niewierzących Pan Bóg, bo nie istnieje, a w dodatku oni w niego nie wierzą. Zawsze natomiast mogą liczyć na religijnych braci i siostry, którzy pospieszą wytknąć błędy, wezwać do nawrócenia i okazać swoją moralną wyższość. Ale przynajmniej pamiętając.

Dawkins skancelowany

Problem ateizmu i jego zaniku w wydaniu wojującym poruszył katolicki portal opoka.org. Powołując się na przykład amerykański, portal stawia pytanie: „Gdzie schował się Richard Dawkins i inni dyżurni ateści?” I odpowiada sam sobie: „Otóż wojujący ateizm, który był charakterystyczny dla pierwszej dekady XXI wieku, stopniowo topniał – a dziś osłabł do tego stopnia, że można wręcz mówić o »odpływie ateizmu« i »przyptywie wiary w Boga«”.

Z tekstu wynika, że ateizm jest mialką propozycją światopoglądową, bo ignoruje doniosły wpływ religii na naukę, skupiając się jedynie na jej destrukcyjnych aspektach. Nie odpowiada na pytania egzystencjalne, pozostawiając ludzi w pustce, zamiast oferować im rojenia o życiu wiecznym. Wierzący nie może uwierzyć, że ktoś jest niewierzący, bo „każdy w coś wierzy”. Wojujący ateści, jak Richard Dawkins, Daniel Dennett, Sam Harris, Christopher Hitchens, wykorzystali zamach na World Trade Center 11 września 2001 r. i popłynęli na fali strachu przed fanatyzmem religijnym. Ośmieszali religie, które wcale przecież nie są takie śmieszne. Fala wznosząca opadła i luminarze ateizmu wraz z nią. Niewierzący, organizując się, zaczęli się dzielić, bo każda organizacja ma skłonność do podziału.

Autor chyba zbyt pochopnie, z przyzwyczajenia, traktuje ateizm jak Kościół (monolit, który ma jedno zdanie), a każde odstępstwo – jak rozpad jednolitego organizmu. Trudno wymagać od wszystkich niewierzących, aby mieli jedno zdanie na każdy temat, ale widocznie w dyskusji z wierzącymi jest to podpunkt wymagany. Gdy wypowiada się jeden ateista, należy to traktować jak pogląd ogółu ateusz – zdaje się myśleć autor „Opoki”. Dawkins rzeczywiście ponarzął się, komu tylko mógł i został przez niektóre środowiska „skancelowany”. Taka już rola i dola prowokatora.

Przywiązywanie się do autorytetu i oczekiwanie, że zawsze będzie mówił to samo i tak samo, to objaw myślenia religijnego. Dawkins wywołał jedną z burz stwierdzeniem, że jest „kulturowym chrześcijaninem”.

„Nazywam siebie chrześcijaninem kulturowym i uważam, że byłoby naprawdę okropnie, gdybyśmy zastąpili chrześcijaństwo jakąkolwiek religią alternatywną” – mówił w ubiegłorocznym wywiadzie dla radia LBC. Zdenerwował tym część ateistów i muzułmanów, bo równocześnie

uznał ich religię za bardziej szkodliwą niż chrześcijaństwo. Wprawił zaś w osłupienie wierzących, którzy nie bardzo wiedzieli, co z takim poparciem zrobić. Osiągnął więc zamierzony efekt, bo mówiło się o nim.

ATEIZM
TO ZABOBON
SPRZECZNY Z NAUKĄ



Dawkins pokazał, że ateista może być zarówno liberałem, jak i konserwatystą i kimkolwiek zechce. Dla ludzi przyzwyczajonych do tego, że po głądy idą w pakiecie, może to być niemalym szokiem. Większym nawet niż to, że Boga nie ma.

A kościoły ciągle puste...

Portal opoka.org powołuje się na brytyjskiego dziennikarza Justina Brierley, który opisuje fenomen powrotu do wiary w Boga po chwilowym odpływie w stronę ateizmu. „Wewnętrzne podziały, miałość programu myślowego »nowego ateizmu«, niechęć do poważnej debaty – to razem sprawiło,

że cały nurt niejako zapadł się w sobie, ujawniając wewnętrzną pustkę. Życie jednak nie znosi pustki i, jak zauważa Brierley, na zachodzie daje się obecnie zaobserwować przeciwne zjawisko: odrodzenie religijności. Na razie jest to dopiero początek przyptywu – nie widzimy jeszcze pełnej siły nadchodzącej fali. Jednak to, że ateizm przestał być »w modzie«, jest już faktem, a ludzie poszukują czegoś, co ukaże im sens życia i da siłę do stawiania czoła życiowym trudom. Obyśmy, jako chrześcijanie, potrafili odpowiedzieć na te potrzeby i pragnienia, trafiając z ewangelicznym przesłaniem do osób poszukujących!” – wzywa swoich współwyznawców redaktor „Opoki”.

Ogłaszając koniec ateizmu i powrót do wiary w Boga, autor grzecznie pomija fakt, że ten powrót wcale nie oznacza powrotu do Kościoła, zwłaszcza katolickiego. Gdyby nie wezwanie do walki o duszę, można by było pomyśleć, że świątynie pękają w szwach i trzeba połowę chętnych do komunii odprawiać z kwitkiem. Tymczasem trend jest zupełnie inny: ludzie, jeśli już poszukują duchowości, to raczej w medytacji, jodze czy innych psychologiczno-religijnych praktykach.

Ateizm spod znaku Dawkinsa stał się mało atrakcyjny, bo wielu uznaje za oczywistość, że bóstwa to bujda i nie potrzebują książek czy wielogodzinnych debat, żeby to udowodniać.

Co było do powiedzenia, zostało już powiedziane, a w świecie mediów społecznościowych opasłe tomy czy przydługie dyskusje nie są już tak mile widziane, jak na początku wieku. Wzruszające, że katolicy publicyści z pewną nostalgią odnotowują brak wojujących ateistów w debacie publicznej. Po prostu nie mają z kim dyskutować i do kogo się odnosić. Obojętność jest gorsza niż aktywna walka z religią, bo nie ma kim straszyć, kogo potępiać, ani komu wylizać dobrodziejstw płynących z religii.

Kto by pomyślał, że „gdzie ci ateści, prawdziwi tacy?” jako pierwsi westchną katolicy?

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Poza etyką i moralnością katolicką nie wymyślono lepszej przestrzeni do wyzbywania się wad, podnoszenia sobie poprzeczki, uczenia się odpowiedzialności, przeżywania miłości, odkrywania prawdy, radzenia z przeciwnościami. Tylko opieranie się na Jezusie czyni człowieka dojrzałym.

ks. Daniel Wachowiak, X, 13 lipca

■ Tego typu pomysły, aby „usprawnić” czy „przyspieszyć” rozwody, pojawiają się od dawna. Nie jest to jednak właściwy kierunek. **Małżeństwo to szczególna instytucja społeczna, która nie powinna być traktowana jako zwykła umowa z możliwością jednostronnego wypowiedzenia tak po prostu.** (...) Ten projekt ma taki sam cel, co ustawa o związkach partnerskich – **chodzi o przeprowadzenie rewolucji kulturowej w Polsce, możliwe osłabienie tradycyjnej rodziny.**

Bartłomiej Wróblewski (PiS), „Nasz Dziennik”, 6 lipca

■ Polskość i chrześcijaństwo – w ocenie lewicy – jest sprzeczne z koniecznością tolerancji dla tzw. różnorodności. **Mamy więc wyraźny podtekst, że wartości, którym Polacy hołdują od wieków, czyli m.in. patriotyzm, wiara w Boga, to są wartości, od których nie tylko należy odchodzić, ale trzeba będzie je zwalczać.** Na tym będzie teraz polegała polityka edukacyjna polskiej młodzieży. (...) W ten sposób rozwój zostanie zahamowany, ograniczony. **W ten sposób ograniczamy możliwości rozwojowe naszego kraju. Jest to więc problem, który znacznie wykracza poza sferę edukacji.**

dr Andrzej Mazan, „Nasz Dziennik”, 1 lipca

■ **Dziś szykuje się grunt pod uderzenie w o. Tadeusza Rydzkiego.** Media, które współtworzył „bardzo przeszkadzają”. Są latarnią, która wielu katolikom nie pozwala się pogubić – zawsze mówi prawdę i stoi po stronie ludzi. **Nie jest wykluczone, że reżim (rządzący) – tak to chyba można już nazywać – sięgnie po przemoc, bezprawie, próbę upokorzenia także w stosunku do Dyrektora Radia Maryja.** Wszystkich nas nie aresztują, ale pamiętajmy, że zawsze najpierw uderza się w pasterzy.

Michał Karnowski, Radio Maryja, 6 lipca



■ **Jesteśmy wezwani do ewangelicznego radykalizmu.** Jezus mówi: „Oto ja Was posyłam jak owce między wilki...”. Wpierw to słowo zrealizował On sam. Jako pierwszy został posłany jak owca między wilki. Aby ta misja była kontynuowana, **potrzeba wciąż świadków, którzy są gotowi oddać życie Mesjaszowi, a nawet za Mesjasza.**

ks. Janusz Chyła, Opoka.pl, 12 lipca

■ **Nigdy nie sądziłem, że dojdziemy do momentu, w którym będziemy musieli się tak martwić o ojca Dyrektora – twórcę wspaniałych dzieł, niezwykle skromnego człowieka, który całe życie poświęcił pracy dla Kościoła, Ojczyzny, wspólnoty, prawdy.** (...) **Odrodził się czarny departament SB. Aresztowanie ks. Olszewskiego, język używany wobec o. Tadeusza Rydzkiego – to wszystko są metody charakterystyczne dla esbecji, komunistycznej bezpieki, która mówiła o księżach „klechy” i która radowała się, jak któregoś „klechę” się przycisnęło; która księży zabijała.**

dalej Karnowski

■ **Fajnie katole głoszący na Hołownię, który głosuje za aborcją? Taki katolicyzm w formie light. Swoją wiarę schował, bo ważniejszy splendor świata i polityczna władza. Piekło to jednak light nie jest. Nie jest też biblijną metaforą.** Życzę nawrócenia i publicznej pokuty.

ks. Daniel Wachowiak, X, 12 lipca

KLECHA

Mając pełne gęby wolności, politycy czuwają, żeby obywatel przypadkiem się tą wolnością nie zachłysnął.

Konstytucja w swoim 73. artykule każdemu zapewnia wolność artystyczną, „a także wolność korzystania z dóbr kultury”. W Konstytucji jest też art. 54, a w nim zapis, że „każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów”.

Poglądy, tak jak kultura i sztuka, mogą przejawiać się nader dowolnie. Mogą być tekstem mówionym, mogą być napisane, może to też być obrazek, rzeźba, zdjęcie i wszystko, co tylko komu przyjdzie do łba, by coś jakoś wyrazić. Każde takie wyrażanie staje się równocześnie – chronionym ustawą zasadniczą – dobrem kultury. Proste? Nie bardzo otóż, bo to wszystko to gówna prawda.

Dlatego kupując na bazarku, pchlim targu, czy w internecie koszulkę z wzorkiem, robiąc dziarę w salonie tatuażu, albo udostępniając jakąś grafikę w social mediach – uważaj. Wzorki, znaczki i litery mogą znaczyć coś, za co grożą kratki, albo łomot ze strony „patriotycznej młodzieży”.

Kryminogenna biało-czerwoność

Konstytucja stanowi, że „godłem Rzeczypospolitej Polskiej jest wizerunek orla białego w koronie w czerwonym polu”. Ptaszysko powinno więc każdego Polaka napawać dumą. Stąd orzeł występował od wieków na pieczęciach, w herbach, na czapkach wojskowych i na sztandarach oraz tablicach jako symbol polskich władców i władzy państwowej.

Jeśli jednak posługujący się Orłem Białym Polak nie reprezentuje państwa w żadnym z jego przejawów, to lepiej, żeby koronowanego drapieżnika omijał z daleka. Najbezpieczniej więc go nie rysować, nie rozpowszechniać, nie drukować i nie nosić na bieliźnie. A jeśli już, to wyłącznie w czasie świąt i uroczystości państwowych.

Ptak, zgodnie z ustawą „o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej oraz o pieczęciach państwowych” jest symbolem narodowym. Co prawda symbol zdawałby się być dobrem kultury, ale w tym przypadku jakoś nie jest. Za znieważenie orla grozi więc kara „pobawienia wolności do roku”. Ponieważ symbolem narodowym jest też Mazurek Dąbrowskiego, to również lepiej go nie śpiewać. Jaś Kapela kiedyś zaśpiewał i przez sąd został skazany na 500 zł grzywny. Kapeli pomylily się słowa i pod melodię Mazurka zachęcał imigrantów do osiedlania się w Polsce.

Symbol orla doprowadził do prokuratury Nergala i zespół Behemoth. Na ich plakacie znalazł się orzeł z czerwonymi oczami i czaszkami na skrzydłach. No i wpisany w orli brzuch odwrócony krzyż. Dlatego orla trzeba kochać i szanować z daleka.

Flaga biało-czerwona przez stulecia miała nas odróżniać od Francuzów, Niemców, Rosjan i nawet Szwedów. No i Monakijczyków i Indonezyjczyków, którzy mają te same kolory, tylko na odwrót.

Podobnie jednak jak orla, Polak flagę winien omijać i starać się w nią nie wdępnąć. Rysownik Marek Raczkowski, dzięki zespoleniu polskich barw narodowych i psich kup, był przez lata niepokojony przez sądy i prokuraturę. Stacja radiowa i telewizyjna, która korzystając z konstytucyjnej wolności słowa to pokazała – też.

Bo z mocy tego samego co przy orle prawa, fladze należy się cześć. Z orzecznictwa sądów wynika zaś, że o ile symbolu flagi nie można używać do przyozdobienia parówek, o tyle można go zmienić graficznie tak, by wciąż wzbudzał skojarzenia narodowe. Grafika może więc przedstawiać ubranego w biało-czerwone barwy kibica. Nawet najbardziej pijanego. Sam biało-czerwony kibic, śpiący we własnych wymiotach, przeciwko czci flagi nie występuje tylko dlatego, że policja woli go omijać z daleka.

Zespolone w kotwice litery PW oznaczały Polskę Walczącą i miały za zadanie wkurzyć hitlerowskiego okupanta. Dziś nie wkurzają nikogo, ale narażają na grzywnę. Przekonał się o tym kilka lat temu Jerzy Urban. „My, Polacy, mamy symbole narodowe w głębokim poważaniu” – powiedział w internetowym filmiku, po czym opuścił spodnie, pokazując przyczepioną do bielizny biało-czerwoną flagę z symbolem Polski Walczącej. Te słowa i ruchy zaowocowały spotkaniem Urbana z prokuratorem. Jeden biznesmen mniej znany od Urbana beknął tysiąc złotych grzywny za produkcję kijów bejsbolowych z symbolem kotwicy.

O graficznym – a więc stanowiącym niematerialne dobro kultury – symbolu, który należy wedle konstytucji do wszystkich, ustawa mówi: „Znak Polski Walczącej, będący symbolem walki polskiego narodu z niemieckim agresorem i okupantem podczas II wojny światowej, stanowi dobro ogólnonarodowe i podlega ochronie należytą historyczną spuścizną Rzeczypospolitej Polskiej”. Spuścizną tę kodeks wykreślił wycenia obecnie na maksymalnie 5 tys. zł.

Ustawowa ochrona jakoś ma gdzieś tatuaże, biżuterię patriotyczną, naklejki na samochody, podkoszulki i powszechne przekonanie, że połączone litery PW oznaczają Powstanie Warszawskie. Ale to się może zmienić w każdej chwili, w zależności od widzimisię polityków.

Wolni od wolności



Krzyż w różnych odsłonach

Pentagram to znaczek malowany od czasów neolitu. W Babilonie rysowano go na pojemnikach z żywnością, żeby niegniła. Pierwsi chrześcijanie widzieli w nim pięć ran Jezusa. 1300 lat później wyznawcy Nazarejczyka zmienili zdanie i stwierdzili, że to symbol szatana. Odwrócony krzyż, wbrew powszechnej opinii, to tzw. krzyż św. Piotra, któremu każdy katolik winien jest wiarę, nadzieję i miłość.

Oba symbole korzystają z konstytucyjnej wolności. Do czasu aż się któryś ze znaczków wymaluje na ścianie kościoła katolickiego. Wtedy dostaje się rok w zawiasach na trzy lata. Tyle usłyszał w sądzie 18-latek, który włamał się do kościoła w Ilży, ukradł ryngraf i zrobił dziurę w świętym obrazie, a nade wszystko obraził uczucia religijne przez namalowanie na ścianie ołtarza odwróconych krzyży i próbę narysowania pentagramu.

Od dwóch tysięcy lat w naszym kręgu kulturowym krzyż służy do orientowania się, kto z nami, a kto przeciw nam. Wcześniej było dokładnie tak samo, ale ci, co byli przeciw, wypadali z gry poprzez przybicie doń.

Krzyża używać nie wolno. Każde skorzystanie zeń bez zgody Kościoła może być użyte do obrażenia uczuć religijnych. Czyli zastosowania art. 196. k.k. – o obrazie uczuć religijnych, z zagrożeniem dwoma latami odsiadki.

Gdy jednak jest się duchownym, zakonnicą, członkiem PSL lub PiS, czy innej instytucji uzależnionej od Kościoła, to adoracja krzyża jest wpisana w obowiązki zawodowe.

Ichthys, czyli ryba, to przedkrzyżowy, najstarszy symbol oznaczający chrześcijan. Mimo że znaczek nie jest wymieniony w żadnym przepisie prawnym, to lepiej trzymać się od niego na dystans. Ba, za dorabianie rybie zębów reki na grozi art. 196. k.k. i 24 miesiące więziennego postu. Należy też pamiętać, że ryba naklejona na bagażniku jadącego przed nami samochodu, nie służy jako celownik.

Nikt nie wie, po co ją niektórzy naklejają. Ale firmy produkujące te naklejki się z tego cieszą, a Kościół grzyża zębami, że nie może się upominać o pieniądze z tytułu praw autorskich.

W kontekście patriotyczno-kościelnym nader zabawne jest, że polskie prawo rozacza konstytucyjną gwarancję wolności nad swastyką. Bo co prawda jest zakaz propagowania totalitaryzmów, ale hakenkreuz się na to nie łapie. Pewnie dlatego, że to starożytny znak magiczny pochodzący najprawdopodobniej z Indii, gdzie stanowi talizman. Jedno z najstarszych malowideł z motywem swastyki pochodzi z paleolitu, ma więc około 10 000 lat. Połamany krzyż to też część patriotycznej historii. W dwudziestolecu międzywojennym swastyka była wszak częścią emblematu noszonego na kołnierzu munduru przez polskich artylerzystów. Światowy rozgłos nadała jednak swastyce państwo o nazwie III Rzesza.

Zagrożenia w używaniu swastyki w Polsce brak. Jest wszak uniewinniający ją werdykt Trybunału Konstytucyjnego oraz fakt uniewinnienia białostockiego prokuratora, który odmówił wszczęcia postępowania za malowanie swastyk, wychodząc z założenia, iż symbol ten nie musi się kojarzyć z faszyzmem, bo „w Azji jest powszechnie stosowanym symbolem szczęścia i pomyślności”. Za granicą jednak bywa inaczej. Używanie znaku na terenie Niemiec może się wiązać z odsiadką do trzech lat. W Austrii i paru innych krajach też.

U nas można śmigać sobie po ulicach z wytatuowaną swastyką. Zaś „patriotycznie nastawiona młodzież” może sobie nią bezkarnie ozdabiać nagrobki każdego, kto jej podpadnie, bo dla wymiaru sprawiedliwości pozostanie „nieustalonym sprawcą”.

Krzyż celtycki, to pradawny symbol odnoszący się do słońca albo emblemat celtyckiego chrześcijaństwa, jak też jeden z układów kart tarota oraz oficjalny znak nazistów norweskich, zwolenników białej supremacji, no i nieformalne logo Narodowego Odrodzenia Polski (NOP).

W Polsce symbol ten jest niewinny jak lelija. Szczególnie od czasu oficjalnej interpretacji Ministerstwa Sprawiedliwości z podpisem Łukasza Piebiaka, kiedy ten był tam wiceministrem. „Na tle obowiązującego stanu prawnego niejednocie oceniana jest kwestia zachowań polegających na ekspozowaniu znaków, napisów, czy gestów kojarzonych z ideologią totalitaryzmu, które mogą mieć także inne znaczenie, tak jak ma to miejsce w przypadku wizerunku krzyża celtyckiego czy napisu »White Pride«, które z jednej strony, przez niektóre środowiska, łączone są z ruchami neofaszystowskimi, z drugiej zaś posiadają także inne konotacje (krzyż celtycki – wyraz symboliki religijnej, White Pride – nazwa ruchu społecznego sprzeciwiającego się biologicznemu mieszanu ras ludzkich)”.

Jeśliby jednak komuś przyszło na myśl epatować krzyżem celtyckim w Niemczech, musi być świadomy, że jego pobyt w tym kraju może się przedłużyć do trzech lat.

Naziole, komuchy, pedały

Falanga to symbol, który pojawił się w miejsce zakazanego przez władze II Rzeczypospolitej „mieczyka Chrobrego” i służył do manifestowania niechęci do Żydów tudzież innych takich. Teraz do emblematu przynajmniej się ONR, NOP, Młodzież Wszechpolska i inni miłośnicy patriotycznego odłamu Konfederacji.

Posługiwanie się falangą w Polsce nie wiąże się z żadnymi szyskanami. Z wyjątkiem sytuacji, gdy znak maluje się sprayem na elewacji. Wtedy grozi kara za wandalizm. Falanga nie jest też przypisana do żadnej organizacji, bo niegdyś Sąd Apelacyjny w Warszawie odmówił zarejestrowania falangi jako oficjalnego symbolu NOP. Uznając, że wiązałoby się z tym, że tylko członkowie tej organizacji mogliby z tym znakiem paradować. No i handlować „patriotycznymi gadżetami” z tym symbolem.

Dzięki temu falanga zdobi dziś proporzec Marynarki Wojennej RP, robi za biżuterię patriotyczną, i jest częstym motywem tatuaży, naszywek. Oraz służy za ozdobnik odzieży kibicowskiej.

Konstytucyjna wolność rozciąga się u nas i na symbol uchodzący na świecie za faszystowski i z tej racji nawet ścigany. Mowa o orle w koronie z krzyżem, z różgami liktorskimi i toporem. Różgi w starożytnym Rzymie symbolizowały władzę konsulów rzymskich, mających prawo wymiatania różgami nieporządków i karania śmiercią ich sprawców. Znaczenie później był to symbol faszystowskich Włoch.

Ze względu na wielość detali znak nie występuje szczególnie często. Ale natknąć się nań można na tatuażach i materiałach propagandowych Narodowego Odrodzenia Polski.

W stosunku do omawianych dotąd symboli „zakaz pedałowania” jest tworem nowym. Jednak używanie go zostało dość skrupulatnie przez sądy określone. Po pierwsze więc za korzystanie z zakazu grozi mandat lub proces cywilny z NOP. Zdaniem prawników organizacja jest on bowiem znakiem objętym ochroną prawa autorskiego i majątkowego jako własność NOP.

Z drugiej jednak strony – jak niegdyś uznał Sąd Rejonowy Katowice-Wschód – znak ma charakter nieprzystojnego rysunku, i jak ktoś go prezentuje w miejscu publicznym, to łamie prawo i zasługuje na grzywnę.

Ani jedno, ani drugie zagrożenie nikogo nie wzrusza, więc cokolwiek schematyczny rysunek stosunku wpisany w znak zakazu rozpowszechniany jest masowo w internecie, jest też na tysiącach koszulek. A nade wszystko eksponuje się go na transparentach w czasie spotkań piłkarskich i na poboczach Parad Równości.

Sierp i młot i pięcioramienna czerwona gwiazda są symbolami sojuszu robotniczo-chłopskiego – znaczy komunizm.

Mimo ustawy zakazującej gloryfikowania nefajnych ideologii – ku głębokiemu ubolewaniu wielu – za ekspozowanie tych symboli nic nie grozi. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy nosiciel takich znaczków spotka co najmniej trzyosobową ekipę „patriotycznych kibiców”. Za PiS taka antykomunistyczna „patriotyczna młodzież” ścigana nie była. Jak jest teraz, nie wiadomo, bo od ukonstytuowania się nowej władzy z komponentem lewicowym nikt z sierpem i młotem nie biega. Choć linia polityczna w sprawie symboli w wydaniu rządów Tuska jest. Gdy bowiem Jarosław Gowin był dawno temu ministrem sprawiedliwości w koalicji PO-PSL, zapowiedział, że nie będzie podejmował żadnych kroków prawnych w sprawie koszulek z symbolami komunistycznymi. Nie miał innego wyjścia, bo TK orzekł rok wcześniej, iż w Polsce noszenie symboli komunistycznych i nazistowskich nie jest zabronione przez prawo.

TOMASZ BOROWIECKI

Instytucja do zapomnienia

Hufce bez koloratek

Pierwszą instytucją, z której udało się skutecznie wyprowadzić Kościół, są Ochotnicze Hufce Pracy. Po 33 latach zatrudnieni tam kapelani dołączyli do wypowiedzenia.

Tak się bowiem składa, że Ochotnicze Hufce Pracy wciąż istnieją. I nic to, że prawie żaden młody człowiek o nich nie słyszał, a większość dzisiejszych 60-latków jest przekonana, że OHP wyleciały na śmietnik historii tuż po roku 1989. Ba, hufce mają się świetnie! Setki etatów, 16 komend wojewódzkich, Komenda Główna, centra kształcenia i wychowania, centra edukacji i pracy młodzieży i nawet ośrodki szkolenia i wychowania.

Nieprawie łoże

W PRL, jak ktoś nie nadawał się już absolutnie do niczego, szedł do OHP. Od tej pory nic się w tej kwestii nie zmieniło. Tak samo jak atrakcyjność junackich posadek.

Pieniądże na to idą oczywiście z budżetu. OHP nie są bowiem jakąś tam kolejną organizacją młodzieżową. Są państwową jednostką budżetową nadzorowaną przez ministra od rodziny, pracy i polityki społecznej. Najmieszniejsze zaś jest to, że aktualna historia hufców nawet słowem nie zająknie się, że OHP miały coś wspólnego z komuną.

Oficjalnie OHP jest bowiem spadkobiercą przedwojennych Junackich Hufców Pracy. Czyli czegoś o charakterze edukacyjno-paramilitarnym, o istnieniu czego w II Rzeczypospolitej wiedzieli tylko założyciele. O takiej instytucji jak Powszechna Organizacja „Służba Polsce” – przez którą przez parę pierwszych lat po wojnie przeszli miliony Polaków – w historiografii OHP nie ma ani słowa. Tak jak o tym, że dzięki darmowej sile roboczej ówczesnych junaków odbudowywano polski przemysł, Warszawę i nawet osuszano Żuławy.

Tyle tylko, że gdy Stalin zszedł był, PO „SP” zaczęła zdychać. Jej ośrodki, lokale, jak też część zadań przekazywano innym organizacjom i instytucjom. Aż w końcu, w listopadzie 1955 r., Rada Ministrów powiadomiła Komendę Główną PO „SP” o celowości „rozwiązania organizacji, uzasadniając, iż spełniła swoje zadanie (...) na odcinku ekonomicznym”. 5 stycznia 1956 r. płk Jan Zajdel jako ostatni komendant główny złożył w Sekretariacie KC PZPR meldunek stwierdzający, że od stycznia tego roku PO „SP” nie prowadzi już żadnej działalności. Komisja likwidacyjna rozparcelowała majątek „Służby Polsce” i przekazała go Lidze Przyjaciół Żołnierza, Związkowi Samopomocy Chłopskiej, Związkowi Młodzieży Polskiej i komu się dało.

Po 1956 r. przyszło nowe, czyli stare. Władza potrzebowała dla swoich działaczy nowych etatów, a zatem w 1958 r. na bazie kadry „SP” utworzono Ochotnicze Hufce Pracy. Organizację tak jak „SP” paramilitarno-edukacyjno-wychowawczo-wolnorynkową. Wolnorynkowość Hufców przejawiała się w tym, że junacy pracowa-

wali w PGR-ach, na budowach i w zakładach za półdarmo. Oprócz tego nosili czarne mundury.

Do OHP szkoły kierowały tych, którzy dziś pewnie zaopatryliby się w papiery o dysleksji, dysgrafii i na dodatek o dyskalkulii i zostaliby magistrami. Wtedy zaś, jak ktoś był matolem, to wylatywał z podstawówki i zostawał junakiem. Musiał być matolem, bo junaków z OHP nie chciało nawet Wojsko Polskie, podówczas ludowe. Zaliczenie hufców zwałniało bowiem z odbywania szaczonego obowiązku obrony ludowej ojczyzny.

Oprócz skoszarowania i nauki zawodu OHP robiły też coś pożytecznego. Były pośrednikiem wakacyjnej pracy dla nastolatków. Jak komuś w domu się nie przelewało, to biegł do miejscowej placówki i załapywał się w wakacje do roboty. Mógł choćby wyjechać na cztery tygodnie na drugi koniec Polski, gdzie za free dawano mu kwatery, wyżywienie, no i robotę. Wakacyjny junak pracował zatem parę godzin za dnia, a wieczorami robił, co chciał. Na koniec turnusu otrzymywał kasę, za którą mógł spędzić resztę wakacji. A jak się nastolatki nie chciało ruszać tylko, to dostawał pracę we własnej miejscowości. Zarabiał grosze, ale mógł sobie za nie pozwolić nawet na trzytygodniowy obóz.

Europosysacze

Do kapitalistycznej rzeczywistości początku lat 90. OHP ni cholery nie pasowały. Przy ówczesnym bezrobociu nikogo nie interesowali młodzi niezdolni. Z jednym – jak się okazało – wyjątkiem. Otóż na istnieniu hufców zależało pracownikom OHP. Na pracownikach OHP zależało zaś wszystkim kolejnym rządcom, bo, jak wiadomo, państwowych etatów dla swoich nigdy dość. A jak była państwowa kasa, to nie mogło braknąć i przedstawicieli Kościoła. Wystarczyła fucha duszpasterza hufców i kościelni jeli instytucję osłaniać tarczą swej opieki. Z OHP zdjęto zatem obowiązki związane z obronnością, rola pośredniaka zdechła sama. Hufce bujały się tak do roku 2004.

Gdy wstąpiliśmy do Unii, hufce okazały się idealną maszynką do posysania unijnych pieniędzy. Praca z ubogą, felerną intelektualnie młodzieżą to miód na uszy Brukseli.

OHP zatrudniły zatem fachowców od pisania wniosków o dofinansowanie kapitału ludzkiego i miliony zaczęły zasilać ich konta.

Nowe budynki, wyposażenie, programy edukacyjno-wychowawcze – działalność hufców rozkwitła. I nic to, że obejmowano nią coraz mniej młodzieży. Nic to, że efekty widać było wyłącznie na papierze. Ważne, że władza mogła się pochwalić, że robi coś dla młodych ludzi zagrożonych patologią.

Przyszła pisowska IV RP i zdawało się, że OHP zostaną odstrzelone.

Powstały projekty likwidacji hufców i przekazania ich majątku instytucjom, które zajmują się tym samym i też robią to za kasę z budżetu. Gdzie tam! Argument w postaci mnóstwa posad dla lokalnych działaczy przeważał. OHP przeżyły.

Po 2007 r. OHP nie interesowały Platformy Obywatelskiej, bo były w resorcie PSL-u. I to PSL porozprawdzał w hufcach swoich ludzi.

Gdy w 2015 r. wygrało PiS, szefową resortu pracy – znaczny organ nadzorujący OHP – została Elżbieta Rafalska. Rafalska była już kiedyś w rządzie, tyle że wówczas robiła za wiceministra, a na dodatek wyleciała na zbity pysk. A wszystko z głodu. Panią wiceministra Rafalską, jadącą podówczas pociągami, tak zaczęło ssać w żołądku, że dotarło to do wiceministra spraw wewnętrznych. Ten zaś polecił, by policjanci w mieście, w którym pociąg miał się zatrzymać, kupili hamburgery i zanieśli je głodnej Rafalskiej do przedziału. Kelnerzy w mundurach polecenie wypełnili z nadstatkiem. Pochwalili się bowiem swoją nową sprawnością w mediach. I na nic zdały się tłumaczenia Rafalskiej, że kolega z rządu „chciał jej po ludzku pomóc”. Na nic zdały się też oświadczenia wiceministra, że był to jego własny pomysł i nie działał na prośbę koleżanki z innego resortu. W styczniu 2007 r. oboje wice ministrów wice ministrami być przestało. I jeszcze jedno: ratujący Rafalską przed śmiercią głodową wice minister spraw wewnętrznych nazywał się Marek Surmacz.

Czy zdziwiło zatem kogoś, że w tydzień po zostaniu ministrem pracy i czegoś tam, Rafalska powołała nowego Komendanta Głównego Ochotniczych Hufców Pracy nazwiskiem Surmacz i imieniem Marek?

„Myślę, że była potrzeba wprowadzenia osoby z zewnątrz, o dużym doświadczeniu” – argumentowała Rafalska. Dokładnie tak samo myślał widać Surmacz. W ciągu paru tygodni Surmacz wymiół do cna PSL-owskich beneficjentów synekur, zastępując ich pisowskimi.

Księża na Księżyc

O stanowisko nie musiał się bać ksiądz prałat Jarosław Sroka. Na Krajowego Duszpasterza Ochotniczych Hufców Pracy powołała go bowiem jeszcze w 2006 r. Konferencja Episkopatu Polski. Nikt nie ruszył też 16 duszpasterzy przy

wojewódzkich komendach oraz stad duszpasterzy współpracujących z poszczególnymi jednostkami organizacyjnymi OHP.

A tych było od cholery. Samych tylko opiekunczo-wychowawczych było i jest w OHP ponad 200 i zajmują się dziesiątkami tysięcy młodych ludzi. Było i jest też ok. 500 podmiotów realizujących zadania na rzecz rynku pracy. Co robią konkretnie, za bardzo nie wiadomo, ale egzamin ze sprawozdawczości zdają na piątkę.

Dzisiejsze Ochotnicze Hufce Pracy działają gdzieś na styku edukacji i wychowania oraz pomocy społecznej. Znalazły zatem genialną niszę, by nikt nie wiedział, czym się konkretnie zajmują. Dzięki temu wszystko jedno, czy kierują nimi nieudacznicy z tej, czy innej partii. Do czasów PiS jednak OHP dbały, by nikt nie wiedział, że istnieją. Nominaci Kaczyńskiego nawet tego nie potrafili.

Za Surmacza, który szefował hufcom do 2018 r., media o OHP jeszcze nie pisały – zmieniło się to wraz z karuzelą na stanowisku komendanta, która ruszyła po Surmaczu. Między lutym 2018 r., a październikiem 2021 r., przez fotel komendanta głównego przewinęło się trzech czwartoligowych działaczy PiS. Ale po nich przyszła pani owiana medialną legendą nie mniejszą niż Surmacz. Nazywała się Małgorzata Zwiercan i zasłynęła tym, że jako posłanka Kukiza głosowała za Kornelą Morawieckiej. Nic zatem dziwnego, że gdy posłanką już nie była, przystąpiła do PiS i dostała robotę w kancelarii premiera. Stąd zaś trafiła na stołek komendanta OHP. Obśadeniu jej na tym stanowisku nie przeszkadzał fakt, że w sprawie jej głosowania na dwie ręce deliberował cały czas sąd. Zwiercan musiała spełnić tylko warunek posiadania wyższego wykształcenia. No to spełniła – niecałe dwa tygodnie przed nominacją została absolwentką zarządzania i inżynierii produkcji na Wydziale Nauk Inżynierskich Gdańskiej Szkoły Wyższej.

Przez rok z górką Zwiercan komenderowała hufcami nieniepokojona przez nic i nikogo. Aż 16 stycznia 2023 r. sąd zakończył proces o głosowanie w zastępstwie i nałożył na byłą posłankę dwuletni zakaz zajmowania stanowiska funkcjonariusza publicznego. Zwiercan powinna więc wylecieć, ale trzymała się fotela do końca zeszłego roku.

Roku najgorszego piarowo dla OHP w historii. Oprócz bowiem nielegalnej pani komendant postąpiły się afery. Największe w Wielkopolsce. Tamtejszy hufiec – obsadzony przez lokalnych pisowców – dopadła podpuszczona przez innych lokalnych pisowców prokuratura. Poszło najpierw o gwałt na wychowanku w ośrodku OHP, a potem o przekroczenie przy budowie nowego budynku w tym samym ośrodku w Niechanowie drobnych 1,6 mln zł. Na pysk poleciała komendantura poznańskiego OHP. Media zaczęły grzebać i dogrzebały się lokalnych współzależności rodzinno-przyjacielskich wśród pisowskich wielkopolskich dołów partyjnych. Wyszło, że komendantka była człowiekiem tego a tego i wspierała ją ten i ten. Po tym, jak wyleciała, zastąpił ją ktoś inny tylko dlatego, że był mężem wpływowego pisowskiej radnej powiatowej.

Dokładnie tak samo jak w Wielkopolsce wyglądała sytuacja rodzinno-kadrowa w innych komendach wojewódzkich OHP.

Po obaleniu PiS nadzór nad OHP przypadł lewicy w osobie Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. Dlatego komendantem został od zawsze związany z trzecioligową lewicą Jerzy Budzyn. I to właśnie on podjął wyjątkową we współczesnej historii Polski decyzję o wyprowadzeniu kleru z państwowej instytucji. Poza tym oczywiście odpisał hufce, obsadzając wakaty lokalnymi nieudacznikami z lewicy. A teraz – jak mówią jego współpracownicy – stara się, żeby media i politycy o OHP zapomnieli.

TADEUSZ JASIŃSKI

R E K L A M A

Prof. Łukasz Turski
Nauka i władza

Stefan Chwin
U nas w Polsce nie chodzi się w kapeluszu

Tomasz Miłkowski
Podsumowanie sezonu teatralnego

Wojciech Kuczok nie tylko o piłce
Bezgraniczny talent Lamine'a Yamala

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

NIE MA NAWET EKSHUMACJI

PRZEGRANY WOŁYŃ

WIARA CZYNI CZUBA

1. Po nieudanym zamachu na Donalda Trumpa dewocja ogarnęła nie tylko republikanów, którzy głoszą, że ich kandydata ochronił Bóg osobiście. Josh Shapiro, demokratyczny gubernator Pensylwanii, w której rzecz się wydarzyła, ogłosił, iż „oferuje swoje modlitwy i modlitwy wszystkich 13 milionów pensylwańczyków” za Trumpa i Corey’a Comperatore’a, który zginął w strzelaninie: „Corey był dobrym tatą, strażakiem i chodził do kościoła w każdą niedzielę” – scharakteryzował ofiarę gubernatora stanu, w którym – zgodnie z badaniami – 21 proc. obywateli deklaruje się jako „no-nes” (czyli bez religii), a 10 proc. oświadcza wprost, że nie wierzy w boga. Podzielających żydowską wiarę gubernatora Shapiro jest zaledwie 1 proc. – co może wskazywać, że szafował „modlitwami wszystkich 13 milionów pensylwańczyków” nieco na wyrost.

2. „Po pełnej namysłu modlitwie i płynących z serca łzach, liderzy naszego Kościoła zagłosowali za permanentnym zamknięciem naszego duszpasterstwa” – ogłosiło kierownictwo megakościoła Lex City w Kentucky, wyjaśniając, że „straciło płynność finansową”. Lokalne media uzupełniają szczegóły: Zachary King, 47-letni pastor Lex City, został oskarżony o „gwałt pierwszego stopnia, gwałt trzeciego stopnia, sodomie pierwszego stopnia, sodomie trzeciego stopnia, wykorzystywanie seksualne pierwszego stopnia oraz nakłanianie lub promowanie wykorzystywania nieletnich za pomocą środków elektronicznych”. Ofiara miała lat 15, związek pastora z dzieckiem trwał ponad rok i był okraszony pornofociami wymienianymi przez Snapchata i WhatsAppa. Zaskakująco, po ujawnieniu tej informacji, kościół stracił darczyńców.

3. Były proboszcz parafii św. Stanisława w Wardsville w stanie Missouri, ks. Ignazio Medina przyznał się do ukradzenia 300 tys. dolarów z kościelnej kasy. Medina rządził parafią w latach 2013–2021; w 2018 r. kontrola skarbową wykryła „konto bankowe, które nie było wcześniej zgłaszane”, wobec czego Medina zaczął je zgłaszać. W 2020 r. było na nim 360 tys. dolarów. Kiedy proboszcz usłyszał, że biskup przenosi go do innej parafii, wypisał dwa czek: na 100 tys. dolarów dla siostry i na 200 tys. dla siebie. Kiedy rada parafii zgłosiła zastrzeżenia, ojciec Ignazio ogłosił, że inkryminowane konto „było zasilane darowiznami, które nie były przeznaczone dla samej parafii, tylko dla jego własnego użytku”. Dodatkowo ks. Medina został skazany przez sąd kościelny za seksualne nagabywanie parafianki podczas spowiedzi.

4. Cristóbal Ascencio García, biskup Apatzingán w meksykańskim stanie Michoacán ogłosił, że nadejście komunizmu do Meksyku jest „nieuchronne”, albowiem wybory prezydenckie wygrała lewicowa kandydatka Claudia Sheinbaum, stojąca na czele koalicji nazwanej poetycko „Kontynuujmy Tworzenie Historii”, złożonej z Narodowego Ruchu Regeneracji MORENA, Partii Pracy i Partii Zielonych Ekologów Meksyku. Bp Garcia wie, że komunizm nadchodzi, bo poprzedni prezydent z MORENY Andrés Manuel López Obrador doprowadził do dekryminalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży w stanach Oaxaca, Hidalgo, Veracruz, Baja California, Colima, Guerrero, Baja California Sur, Quintana Roo i Aguascalientes, w Sinaloa nawet do 13., a do tego ustanowił „Narodowy dzień walki z homofobią i transfobią”. Ty, synku biskupi, komunizmu nie widziałeś.

5. Biskupi Filipin wzywają do „powolnego i ostrożnego działania” w sprawie legalizacji cywilnych rozwodów. Filipiny są ostatnim (poza Watykanem) krajem na świecie, gdzie rozwody cywilne nie istnieją – choć katolików jest tam 80 proc., co oznacza, że co piąty obywatel oddany jest dyktatowi innej religii. „Pomyślcie, ile razy twoi rodzice działali sobie na nerwy i kusiło ich, żeby się rozstać” – napisali biskupi. „Pomyślcie, ile razy twój ojciec spał na kanapie lub twoja matka spakowała swoje rzeczy i zabrała was do babci. Pomyślcie, co mogłoby się stać z waszą rodziną, gdyby rozwód cywilny był możliwy, gdy byliście dziećmi”. Według oficjalnych danych, 17,5 proc. filipińskich kobiet doświadcza przemocy fizycznej, seksualnej i emocjonalnej ze strony swoich partnerów. Pomyślcie, co by się stało, gdyby mogły od nich odejść.



Cypryjski świeżak

Europoseł znany z przytulania Elona Muska

Polityka zdominowana jest przez starców. To nie krytyka, a fakt. Sensacją jest, gdy w parlamencie zasiądzie ktoś, kto nie spogląda jeszcze w stronę emerytury. Emerytury, którą oczywiście spędzi najchętniej w ławach poselskich. Tak to wygląda w Polsce, ale zapominamy – albo też nie zwracamy uwagi – kto wybierany jest do Parlamentu Europejskiego. Pod tym względem polska delegacja specjalnie nie różni się od innych – dla wielu polityków wybór do PE oznacza dom spokojnej politycznej starości z dala od problemów w ojczyźnie. Są jednak wyjątki.

Na gapę do Brukseli

Mandat poselski z Cypru uzyskał Fidias Panajotu. Dla Czytelników nieznających tej osobistości, a takich z pewnością jest wielu: Fidias to 24-letni facet, działający w internecie od 2019 r., znany jest przede wszystkim z tego, że przez dwa miesiące czekał pod siedzibą (wtedy jeszcze) Twittera, by przytulić Elona Muska, relacjonując wszystko na TikToku i YouTube. To człowiek kompletnie niezwiązany z polityką, tworzący w necie intelektualnie przeciętne treści – cieszący się jednak dość sporą rozpoznawalnością w ojczyźnie.

Zresztą nie tylko w ojczyźnie; rok temu zdążył podpaść Japończykom po nagraniu filmu, w którym podróżuje po ich kraju na gapę.

Nagle jednak nasz bohater stwierdził, że najwyższy czas przysłużyć się społeczeństwu czymś więcej, niż bawieniem ludzi w necie i zdecydował się kandydować w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego jako kandydat niezależny. Wszystko po to, by zmotywować swoją grupę odbiorców – czyli, naturalnie, młodszą część społeczeństwa – do większego zaangażowania w politykę. Jak się okazało, 2,6 mln subskrybentów w serwisie YouTube i miliony wyświetleń na TikToku wystarczyły, by zdobyć zawrotną jak na cypryjskie warunki liczbę 71 tys. głosów (19,4 proc. wszystkich oddanych głosów; najlepszy wynik na Cyprze) i uzyskać bilet do europejskiej polityki. Oraz – jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało – stać się trzecią siłą polityczną w kraju, po konserwatywnym Zgromadzeniu Demokratycznym i komunistycznej Postępowej Partii Ludzi Pracy. Jak widać, plan przyciągnięcia młodych do urn się powiódł i to zdecydowanie należy zaliczyć na plus, ale co dalej?

Najbardziej demokratyczna rzecz wszech czasów

Fidias otwiera swoje nowe europoselskie konto w aplikacji TikTok i przedstawia się swoim widzom jako „głupi youtuber”, który „nie wie nic ani o polityce, ani o Parlamencie Europejskim”. Obiecuje jednak, że zabierze wszystkich w podróż, by poznać

tajniki działania Unii Europejskiej z bliska. Na przykładzie tylko tego pierwszego filmu można też zobaczyć skalę jego popularności, bo klip ów zdobył dwa razy więcej lajków, niż wszystkie materiały na TikToku w tym samym czasie. Wcześniej, na pierwszym koncercie europarlamentu razem wzięte. Dotychczas, film Fidiasa zobaczyło prawie 6 mln widzów.

Start jego internetowej działalności europoselskiej zasługuje na pozytywną ocenę. W swoich materiałach rzeczywiście pokazuje, jak wygląda unijna administracja od środka, wyjaśnia sens i działanie grup politycznych, tłumaczy, do czego służą instytucje europejskie, czy jak wygląda proces legislacyjny w UE. To o tyle istotne, że poziom wiedzy na ten temat jest naprawdę słaby i to nie tylko na Cyprze czy w Polsce, bo sama Bruksela nie radzi sobie najlepiej z komunikacją z obywatelami.

Następnym krokiem świeżo upieczono europośle było zrobienie – jak mówi w swoim filmie – „najbardziej demokratycznej rzeczy wszech czasów”. Cóż to takiego?

Fidias zdecydował się pozwolić swoim widzom zdecydować o jego przynależności politycznej w PE. Najbliżej mu do Zielonych – stwierdził – ale to jego fani w tiktokowej ankiecie zdecydują, czy ma dołączyć do tej grupy, czy być posłem niezależnym.

Widownia zdecydowała miażdżącą większością, by pozostał niezależny – co swoją drogą całkiem nieźle obrazuje niechęć młodych ludzi do partyjnej polityki.

Kilka dni później Fidias poddał pod głosowanie internautów swoją kolejną decyzję – tym razem w kwestii udzielenia poparcia, bądź nie, Ursuli von der Leyen. Tu też wyniki były dość jednoznacznie – „nie”. I wydawać by się mogło, że wszystko jest super, a demokracja bezpośrednia wkracza na wyższy poziom, ale niesie to ze sobą kilka problemów.

Są minusy...

Przede wszystkim media społecznościowe nie są najlepszym mechanizmem wyborczym. Głównym argumentem przeciwko zdalnemu głosowaniu w oficjalnych wyborach zawsze jest to, jak bardzo ten system w swojej naturze jest podatny na ataki hakerskie, różne formy manipulacji czy fałszerstwa. Idea młodego europośle jest dobra, jednak lekceważy on zagrożenia z niej wynikające.

A nawet pomijając aspekt bezpieczeństwa: to pomysł na funkcjonowanie w europarlamencie poprzez oddawanie każdej swojej decyzji w ręce internetowych mas stoi poniekąd w sprzeczności z ideą parlamentaryzmu i demokracji przedstawicielskiej samej w sobie.

Posłowie czy europosłowie swój mandat uzyskują, by reprezentować interesy swoich wyborców i ogólnie społeczeństwa Unii

Europejskiej (warto przypomnieć, że eurodeputowani mają mandat wolny). Narzędzie, które Fidias Panajotu oddaje w ręce internautów nie ma systemowego ograniczenia tego, kto wpływa na jego decyzje, bo w końcu głosować mogą w jego ankietach, czy to ludzie spoza Unii Europejskiej, czy to nieletni, czy po prostu boty – i tu znowu wracamy do kwestii cyberbezpieczeństwa, a w zasadzie jego braku.

I kończąc już tę sesję narzekania: demokracja pośrednia powstała, by suweren miał swojego przedstawiciela reprezentującego jego interesy i nie musiał uczestniczyć w każdym procesie decyzyjnym. Gdy eurodeputowany nie ma ani wiedzy o funkcjonowaniu instytucji europejskich, ani ogólnie o polityce i każdą decyzję oddaje w ręce bliżej nieokreślonej grupy internautów, to ta idea ulega wypaczeniu.

...Są i plusy

Oczywiście całe to narzekanie jest nieco na wyrost, bo idea zbliżenia Parlamentu Europejskiego do ludzi, szczególnie tych wcześniej niezainteresowanych, jest dobra. Pojawienie się nowej twarzy, niezależnej politycznie, reprezentującej młodszych wyborców i trochę inne, nowocześniejsze spojrzenie na świat są krokami w dobrą stronę dla nas wszystkich.

Należy jednak zwracać uwagę na potencjalne zagrożenia. Bo choć Fidias Panajotu – jako jeden z 705 eurodeputowanych, w dodatku niezrzeszony w żadnej z grup politycznych – nie będzie miał decydującego wpływu na przyszłość starego kontynentu, to jeśli więcej nieświadomych, początkujących polityków w przyszłości wpadnie w pułapkę swego rodzaju populizmu w propagowaniu demokracji bezpośredniej w nierozważny sposób, napotkamy poważny problem.

Należy jednak doceniać dobrą inicjatywę, chęć angażowania ludzi do bycia świadomym obywatelem nie tylko swojego kraju i aktywnego uczestniczenia w społeczeństwie obywatelskim. Dobrze, że wykorzystywana w tym wszystkim jest potęga mediów społecznościowych, które mimo zagrożeń, jakie w sobie niosą, mogą służyć dobrej sprawie. Dobrze, że ktoś przekuł swoją popularność w pozytywną inicjatywę. Teraz wystarczy zadbać, by pozostała ona bezpieczna i nie wymknęła się spod kontroli, a będzie to z korzyścią dla nas wszystkich.

A jeśli już do europarlamentu mają trafić tacy – co by tu nie mówić – celebryci, to lepszy mało zaznajomiony z polityką youtuber, ale z chęcią rozwoju, niż osoby pokroju piłkarza Tomasza Frankowskiego, dla których strasburska sala plenarna to tylko dodatkowa praca sprowadzająca się do głosowania zgodnie z dyscypliną klubową.

NIKODEM KUSZ

W tym czasie, gdy w Gruzji odbywały się masowe protesty przeciwko ustawie nazwanej „o przejrzystości zagranicznych wpływów” i większość świata zachodniego z USA i UE na czele pomstowały na ten akt prawny – właśnie w Stanach Zjednoczonych przedłużono działanie programu dotyczącego tzw. zagranicznego nadzoru wywiadowczego. Fakt ten został zignorowany przez media, wszak potężne mocarstwo to nie jakieś kaukaskie państewko.

Miedzy agenturą i lobbieniem

Zacznijmy od Gruzji. Niedawno tamtejszy parlament przyjął ustawę o „przejrzystości zagranicznych wpływów” nazywaną potocznie, choć niezbyt precyzyjnie, ustawą o zagranicznych agentach, a następnie odrzucił prezydenckie weto, dzięki czemu prawo to stało się obowiązującym. Była to już druga próba wprowadzenia tej ustawy w życie. Pierwsza miała miejsce w ubiegłym roku; wtedy pojawił się projekt ustawy o zagranicznych agentach, który pod wpływem licznych protestów został wycofany, a następnie powrócił z nową nazwą: zamiast agentury pojawiły się wpływy. Powszechnie prawo nadal nazywane jest „ustawą o zagranicznych agentach”, choć literalnie nie jest to samo. Już bowiem samo sformułowanie „agent” grzmi groźnie; „wpływ” to prostu lobbienie.

Istota nowego prawa sprowadza się, w największym skrócie, do tego, że osoby prawne (organizacje pozarządowe, tzw. NGO-sy, a także media), pozyskujące ponad 20 proc. dochodów ze źródeł zagranicznych, mają obowiązek zarejestrować się jako „podmiot działający w zagranicznym interesie”. W przypadku niedopełnienia tego obowiązku grożą im kary o równowartości od 3,5 do 9 tys. dolarów. Kontrowersje może budzić wymóg przymusowej rejestracji pod groźbą kar finansowych. Jednakże gdyby rejestracji takiej dokonały władze, wówczas można by mówić o stosowaniu administracyjnego przymusu wobec struktur pozarządowych. I tak źle, i tak niedobrze.

Liczne NGO-sy już zapowiedziały, że nie będą się rejestrować. Ucieszyło to ministra finansów twierdzącego, że dzięki temu wzrosną dochody budżetowe. NGO-sy deklarują jednak, że żadnych kar płacić nie będą.

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy rozpocznie się kwalifikacja obiektów podpadających pod rejestrację. Niewątpliwie wywoła to z ich strony kolejne protesty, co z kolei może zdominować kampanię przed wyborami parlamentarnymi wyznaczonymi na 26 października.

Można przypuszczać, że spory o ustawę są na rękę rządzącej partii Gruzińskie Marzenie liczącej na poparcie ze strony konserwatywnych, ceniących sobie polityczną stabilność i jednocześnie czujących na punkcie suwerenności wyborców.

A takich, jak się zdaje, jest większość. Jak ujął to mer Tbilisi Kachi Kaladze, zwracając się do demonstrantów: „Nie podoba wam się ustawa, to wygrajcie wybory, a póki co, radykalowie nie będą dyktować władzy, co ma robić”.

W swoim sprawozdaniu oceniającym nowe gruzińskie prawo Komisja Wenecka krytykuje automatyzm, z jakim ustawa przypisuje działanie w obcym interesie każdemu, kto pozyskuje jedną piątą pieniędzy z zagranicy, bez wnikania w to, jakie treści propaguje. Ponadto zauważa, że wystarczy ograniczyć pomoc zagraniczną do 19 proc., aby być „agentem” bezkarnie.

Gruzińscy przeciwnicy ustawy twierdzą, iż jest ona wzorowana na prawie obowiązującym w Rosji. Nie jest to do końca prawda: na mocy rosyjskiej ustawy władze same dokonują rejestracji „agentów”, a wpisani na agenturalną listę mają obowiązek informować o tym na swoich stronach internetowych. To trochę tak jak w dowcipie sprzed lat, kiedy to na pełną ludzi salę balową wchodzi odzwierny i ogłasza: tajny agent P-46 proszony do telefonu.

Ruskie prawo albo ukrainizacja?

Po co gruzińskim władzom ta awantura? Z wypowiedzi prominentnych polityków partii rządzącej można wnioskować, że chodzi o dwie kwestie.

Pierwsza to nie dać się wciągnąć w konflikt zbrojny z Rosją. Taką wojnę Gruzini już raz przeżyli w 2008 r. i nie mają bynajmniej ochoty na powtórke. Druga przesłanka to uniknięcie Majdanu. Przywódcy Gruzińskiego Marzenia niejednokrotnie deklarowali, że nie dopuszczą do ukrainizacji Gruzji. Co prawda, lansując kontrowersyjną ustawę, władze same doprowadziły do ulicznych protestów. Jednak z drugiej strony daje im to do ręki argument, iż demonstranci



– podobnie jak na Ukrainie – chcą doprowadzić do siłowej zmiany rządów, zwłaszcza że też mają poparcie ze strony sił wewnętrznych. Analogie z ukraińskim Majdanem nasuwają się same, jeśli weźmiemy pod uwagę, że podobnie jak przed laty w Kijowie, tak teraz w Tbilisi na wiecach antyrządowych obecni byli przedstawiciele innych krajów, w tym senator Bogdan Klich. Gruziński premier Irakli Kobachidze uznał ingerencję w wewnętrzną politykę swojego kraju za niedopuszczalną – i z tym stwierdzeniem trudno jest polemizować.

Zdaniem gruzińskich władz, protestujący – zamiast argumentów merytorycznych – grają na dwóch tematach. Po pierwsze, nowa ustawa to „prawo rosyjskie”, co samo w sobie ma stanowić jego dyskredytację. Co mogłoby być chwytliwym argumentem w Polsce czy na Litwie, jednak w Gruzji – niekoniecznie. Dla Gruzji Rosja jest bowiem drugim po Turcji czołowym partnerem handlowym, a przelewy od pracujących w Rosji Gruzinów zasilają domowe budżety wielu rodzin. Biorąc to pod uwagę, Gruzja nie przyłączyła się do antyrosyjskich sankcji i utrzymuje z Rosją połączenia lotnicze.

Po drugie, przeciwnicy ustawy nie bez racji podkreślają, że jej przyjęcie stanowi przeszkodę na drodze do integracji Gruzji z Unią Europejską i NATO. Argumentacją tą posługują się nie tylko protestujący, lecz także niektórzy zachodni politycy, jak choćby Antony Blinken czy Josep Borrell.

Co do NATO, Gruzja od lat bierze udział w natowskich misjach i ćwiczeniach wojskowych – i to jej wystarczy. Jeśli chodzi o UE, to faktycznie Gruzja złożyła wniosek o członkostwo, a w 2023 r. został jej przyznany status kandydata. Jednak można odnieść wrażenie, że władze w Tbilisi przyjęły turecki wariant „na przeczekanie”: formalnie chcemy do Unii, ale robimy swoje. Jak ujął to przewodniczący parlamentu Szałwa Papuaszwili: naszym celem jest dążenie do Unii Europejskiej jednak tylko wtedy, gdy „nie będzie to szkodzić naszym interesom”.

Cenzura czy dezinformacja

Powstaje pytanie, czy dla Gruzji ważniejsze jest pozyskiwanie unijnych grantów na poziomie 85 mln euro rocznie – zwłaszcza, że wiele z nich trafia do preferowanych przez Unię, a nielubianych przez władze organizacji pozarządowych – czy też rozwijanie współpracy z Rosją, a przede wszystkim z Chinami.

Wśród pięciu czołowych partnerów handlowych Gruzji nie ma ani jednego państwa członkowskiego UE. Pod względem zagranicznych inwestycji w pierwsze pięć jest tylko Holandia. Wygląda na to, że kraje unijne nie dbają nadmiernie o rozwijanie kontaktów biznesowych z Gruzją. W odróżnieniu od Chin, dla których Gruzja jest strategicznym partnerem; w Anakli u ujścia rzeki Inguri zamierzają zbudować port dający im dostęp do Morza Czarne. Unia Europejska taki dostęp już ma – w związku z czym inwestowanie w gruzińskie porty nie ma dla niej większego sensu.

Ostrożny stosunek do UE może mieć też jeszcze jedną, prozaiczną przyczynę. Wśród założeń Komisji Europejskiej znajduje się bowiem wymóg eliminowania z życia publicznego oligarchizacji rozumianej jako nadmierny wpływ tytanów biznesu na gospodarkę i politykę. Gruzińskie Marzenie obawia się – nie bez podstaw – że obejmie to jej honorowego przewodniczącego, a faktycznie lidera Bidzinę Iwaniszwilę, co niewątpliwie ucieszyłoby opozycję. Jak na razie, to pozaunijny szwajcarski bank Credit Suisse zamroził jego konto opiewające na 2 mld dolarów.

Pośród argumentów przeciwko ustawie pojawia się też dezinformacja. Jej gruzińscy prze-

ciwnicy, Komisja Wenecka oraz senator Bogdan Klich twierdzą, że podważa ona zasadę wolności zrzeszania się i wolności mediów. Senator Klich ogłosił, że w związku z tym nie może ona wejść do gruzińskiego porządku prawnego. A jednak weszła – wbrew jego opinii. Nawiasem mówiąc, jakoś nie słychać, żeby senator PO w podobny sposób wypowiadał się na temat tajnej, a więc całkowicie nieprzejrzystej, tuskowej komisji mającej badać wpływy rosyjskie i białoruskie. Tymczasem już w pkt. 1 gruzińskiej ustawy znajduje się wyraźny zapis, iż nie ogranicza ona podmiotów, których dotyczy. Co oznacza, że nie podlegają one cenzurze i mogą sobie pisać, co chcą i zrzeszać się z kim zechcą, tyle że muszą publicznie informować o tym, że reprezentują obce interesy.

American Freedom

A teraz przejdźmy do USA. Gruzińscy oficjele niejednokrotnie podkreślali, że podobne akty prawne istnieją w innych krajach, w tym w Stanach Zjednoczonych, gdzie obowiązuje ustawa o rejestracji zagranicznych agentów. Zwróciła na to uwagę również Komisja Wenecka, wskazując jednocześnie na różnice pomiędzy aktami prawnymi obydwu państw. Sens obu ustaw jest jednak zbliżony: osoby prawne (a w Stanach także fizyczne) mające powiązania z zagranicznymi strukturami traktowane są w Gruzji jak podmioty działające w zagranicznym interesie, a w USA wręcz jak zagraniczni agenci. Amerykańskie prawo wyraźnie określa, że dotyczy to osób indywidualnych oraz podmiotów zbiorowych, których działalność jest nie tylko bezpośrednio, lecz także pośrednio nadzorowana, kierowana, kontrolowana, finansowana

lub subsydiowana w całości bądź w dużej mierze przez zagranicznego mocodawcę.

W USA czuwa nad tym specjalny, działający w utajeniu, sąd zagranicznego nadzoru wywiadowczego. Rozpatruje on wnioski organów administracyjnych i służb specjalnych w sprawie wydawania nakazów nadzoru.

Sąd ma ręce pełne roboty. W ciągu pierwszych 33 lat swojej działalności wydał 33 942 nakazy, a odrzucił jedynie 12 wniosków; zaledwie 0,03 proc. Nie powinno to specjalnie dziwić, wzięwszy pod uwagę, że Stany Zjednoczone mają niezłego fisia na punkcie agentury i przyjmują nowe akty prawne, które mają uszczegółić wielkie mocarstwo przed obcymi zakusami z pomocą rozbudowanego instrumentarium śledczego.

Amerykańska ustawa została wprowadzona w 1938 r., aby zapobiec nazistowskiej propagandzie. Hitlerowskie Niemcy zakończyły swój byt niemal 80 lat temu, jednak ustawa ta jest permanentnie przedłużana i modyfikowana – wszak wrogów jęczących antyamerykański jad na świecie nie brakuje.

Za przykładem Stanów Zjednoczonych poszły też inne kraje uznawane za demokratyczne, takie jak Australia i Kanada. Australia przygotowała ten akt przy współpracy z Departamentem Sprawiedliwości USA, a jej premier chwalił się tym, że australijskie prawo stanowi ulepszoną wersję amerykańskiego. Jednak ani w Kanadzie, ani w Australii nie słychać było o protestach przeciwko amerykańskiej własności prawa. W krajach tych od dawna bowiem uznano amerykańską za normę – przeciw normalności przecież się nie protestuje.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ W niedzielę 11 lipca 1943 r. Ukraińcy zrzeszeni w OUN/UPA zaatakowali ponad sto miejscowości i bestialsko wymordowali ponad trzy tysiące Polaków. Kilka dni po 81. rocznicy krwawej niedzieli, w podkarpackiej Domostawie odsłonięto pomnik upamiętniający ofiary ludobójstwa. Mimo peryferyjnej lokalizacji, na miejscu zjawili się tłumy obywateli. Odsłonięcie pomnika gremialnie zignorowali politycy zarówno PiS, jak i koalicji rządzącej.

★ Ofiary ukraińskiego ludobójstwa zdecydował się jednak upamiętnić przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Paweł Kowal (PO). W przeddzień 81. rocznicy krwawej niedzieli, w towarzystwie zastępcy kierownika rejonowej administracji wojskowej oraz miejscowego sołtysa odzianego w przepocony podkoszulek, złożył kwiaty na cmentarzu w Kisielinie. Były to jedyne oficjalne obchody 81. rocznicy krwawej niedzieli. Premier, prezydent i minister spraw zagranicznych zignorowali obchody rocznicy wołyńskiego ludobójstwa.

★ O historii milczenia nad mogiłami ofiar rzezi wołyńskiej pisze

w „Przeglądzie” Bohdan Pięta: „[Po 1989 r.] uznano mianowicie, że należy posypać głowę popiołem za niewspółmiernie mniejsze polskie winy wobec Ukraińców, a wtedy strona ukraińska sama dojrzała do wzajemności w postaci potępienia zbrodni OUN/UPA. Dlatego już na początku sierpnia 1990 r. Senat z inicjatywy polityków późniejszej Unii Demokratycznej z Jackiem Kuroniem na czele potępił akcję »Wisła«. Potem strona polska potępiła ją jeszcze wielokrotnie, przyjmując narrację ukraińską, że była to czystka etniczna na ludność ukraińską, a nie akcja antyterrorystyczna wobec UPA. Prezydent Lech Kaczyński posypywał głowę popiołem za zbrodnię w Pawłokomiu, następnie posypywano głowę popiołem za pacyfikację Sahrnia itd. Strona ukraińska wciąż jednak nie posypywała głowy popiołem za ludobójstwo dokonane przez OUN/UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. W Kijowie polskie gesty uznano bowiem za przejaw słabości i jednostronne przyznawanie przez Polskę racji ukraińskiej polityce historycznej”.

★ Ukraińcy odwołują się nie tylko do tradycji UPA, lecz także do

dziedzictwa hitlerowskich sojuszników Bandery. W zeszłym roku z dekretu Wołodymyra Zełenskigo 10. Samodzielna Górská Brygada Szturmowa otrzymała oficjalną nazwę „Edelweiss”. W przeszłości to miano nosiły już: nazistowski 51. dywizjon Luftwaffe walczący na froncie zachodnim oraz operacja wojskowa mająca na celu zdobycie przez hitlerowców Kaukazu. Dywizja została pokonana przez aliantów, a operacja zakończyła się klęską. Zobaczymy, jak skończy trzecie wcielenie „Edelweissa”.

★ „Szturm na Nowy Jork” – anonuje postępy rosyjskiej armii specjalistyczny portal „Военное дело”. „Bitwa o Nowy Jork wkracza w kluczową fazę. Jednostki rosyjskie wkroczyły do centrum miasta i obecnie aktywne szturmuje Zakłady Fenolowe, w których okopane są Siły Zbrojne Ukrainy. Odnotowano również postęp na południe od Kirowa”. Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że na „Nowy Jork” władze ukraińskie przemianowały w 2021 r. dziesięciotysięczne miasteczko w obwodzie donieckim.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Homo ex machina

Po fali entuzjazmu wobec Sztucznej Inteligencji nadszedł czas gorszej prasy i narzekactwa. Ze maszyny zdobędą nad nami przewagę! Będą mądrzejsze! W końcu zawładną ludźmi i zaczną nami pomiatać. 58 proc. ankietowanych uważa, że AI (Artificial Intelligence) stanowi zagrożenie dla cywilizacji. Według ostatnich wynurzeń Elona Muska – cwaniaka od inżynierii finansowej – zegar zgadywa tyka.

Moim zdaniem ta dyskusja jest bardzo spóźniona. O jakieś 4 tys. lat, kiedy rozpoczęto wytwarzanie pierwszych narzędzi. Już obecnie maszyny w pełni nad nami panują. Robią to w sposób tak dyskretny, że nie czujemy się nawet manipulowani. Weźmy na przykład mój samochód, co do którego mam złudzenie, że nim kieruję. Ale czy to nie jest tak, że ten samochód kieruje mną?

Despotyczne pojazdy

Chciałbym na przykład prowadzić go na stojąco, jak rydwan. Nie mogę. Muszę usiąść w fotelu i to nie na miejscu, w którym bym chciał, np. z tyłu. Muszę usiąść na siedzeniu z przodu i po lewej stronie. Mój samochód nie zgadza się, abym usiadł po prawej lub położył się w bagażniku. Chciałbym przyspieszyć, używając wajchy zmiany biegów. Nie mam na to przyzwolenia. Muszę użyć pedału, i to gazu! Jakbym chciał przyspieszyć tym od hamulca, auto wbrew mojej woli robi, co chce. Zahamuje. W gruncie rzeczy samochód oddziałuje na mnie stanowczo, bezdyskusyjnie, a ja jestem wobec niego zupełnie uległy. Tak jest zresztą ze wszystkimi maszynami, które wymagają od nas działań określonego typu w określony sposób. Już jesteśmy ciemniejsi. Swoją wolicjonalność sprzedaliśmy za korzyści, jakie rzekomo czerpiemy z użytkowania różnych urządzeń. Młotek chce, abyśmy nim wbijali gwoździe, natomiast nie godzi się, abyśmy umyli nim zęby. Tyran, despota! Po prostu zwykły psychopata.

Oprócz delikatnych krzywd, jakie te potrzebne urządzenia uczyniły, samochód może zabić, zatruwa atmosferę, powoduje otyłość, utrudnia percepcję otoczenia (wymień trzy ostatnie znaki drogowe, które minąłeś). Każde o siebie dbać: mycie, odkurzanie, ubezpieczenie. Nawet może wywołać zawiść. Prowokować przestępstwa, powiedzmy kradzieże i zdrady małżeńskie. Walka z maszynami jest przegrana. Położyły nas na łopatki. Są silniejsze, szybsze, latają i nurkują, robią dziury w ścianach, których nie wydrapalibyśmy paznokciami. Dużo jest takich maszyn, które nie dość, że nami żądzą, to stworzone zostały tylko po to, żeby nas zabijać. Wiecie, o jakie chodzi.

Robota to głupota

Banalna jest refleksja, że sztuczna inteligencja odbierze ludziom pracę. Oczywiście, że tak. Maszyny ją nam zabierają od stuleci. Przekonali się o tym już luddycy, zauważywszy, że mechaniczne krosna zabierają im robotę, którą wcześniej robili ręcznie. Maszyny tak pokierowały sprawami, że

parlament brytyjski uchwalił w 1812 r. Frame-Breaking Akt, według którego niszczenie krosna stało się przestępstwem zagrożonym karą śmierci. Zabito na jego mocy 17 ludzi.

Koparka zabiera robotę setce robotników, którzy robili kiedyś to samo za pomocą szpadli. Sztuczna sieć neuronowa również nas wydyma. Pisarze, poeci, malarze oraz inni tak zwani twórcy zajmujący się produkcją fikcji nie pokonają myślącej maszyny. Największa wada obecnych sztucznych sieci neuronowych – skłonność do halucynacji, czyli generowania bzdur – jest bardzo użyteczną ich zaletą. Także autorzy kryminałów i romansów, bajkopisarze, autorzy piosenek, kompozytorzy mogą rozejrzeć się za innym zajęciem. Z powstałych już utworów literackich i wizualnych zalegających w miliardach egzemplarzy w bibliotekach i muzeach, w istocie sztuczny rozum może już wykreować dowolną fabułę, linię melodyczną, a także narysować konia w żółtych kaloszach galopującego po szczytach Himalajów, dojeżdżanego przez Jezusa Chrystusa.

Koniec wyzysku

Zagrożone są zawody pracowników umysłowych, których praca polega na powtarzaniu tych samych czynności. Podobnie, jak wyeliminowano już robotników z taśm montażowych samochodów, większość korespondencji urzędowej wykonają za człowieka maszyny. Napiszą standardowe pismo procesowe, podziękowanie za 30 lat służby oraz życzenia urodzinowe, w których będzie coś bardziej i więcej niż: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”. Stworzą kulturę organizacji takiej jak zakład przemysłowy, w którym kadra zarządzająca może okazać się niepotrzebna. A także ta niezarządzająca. W warunkach tak zwanej Gospodarki 4.0 oraz internetu rzeczy, kiedy kontaktują się ze sobą urządzenia, zapotrzebowanie na ludzką pracę będzie prawie żadne.

Nie należało by się tak totalnej robotyzacji spodziewać w przeciągu dziesięciolecia, ale obecne noworodki powinny już brać pod uwagę, że pożądanymi przez nie etatów śmieciarzy, krawcowych, nauczycieli, listonoszy będzie bardzo mało. Ba, w ogóle trudno sobie wyobrazić większość współczesnych zawodów, których nie mogłyby wykonywać maszyny. Od prostytutki poczynając, na chirurga skończywszy. Rzeczywiście dla

przyzwyczajonych ludzi, w obecnym tego pojęciu, może nie być zajęcia. Powodzić się będzie jedynie złodziejom – oni są niezastępowalni.

Arystokracja proletariatu

I bardzo, kurwa, dobrze! Nie trzeba być nadadto spostrzegawczym, żeby zauważyć, że człowiek do życia nie potrzebuje pracy. Potrzebuje pieniędzy. Większość z nas ma jednak jedno marzenie: być bogatym i nie robić nic. Z zaskrośnią patrzymy na takich, którym się powiodło.

Rozwój robotyzacji oraz systemów sztucznie inteligentnych spowoduje, że wszyscy staniami się arystokratami. Bezklasowe społeczeństwo wolnych ludzi, z których każdy będzie błękitnokrwisty. Marzenie Karola Marksa stanie się prawdą.

Oczywiście, aby było to możliwe konieczna będzie prawdziwa nacjonalizacja środków produkcji. Przez akcjonariat. Nie może być tak, że ludzie żyją z zasiłków wypłacanych z podatków oddawanych państwom przez korporacje. Korporacje trzeba przeobrazić w spółdzielnie (spółki akcyjne), które będą wypłacać wszystkim obywatelom uczciwą dywidendę. Tak zwany dochód pasywny.

Większość ludzi przez większość życia funkcjonować będzie jako rentierzy na podobieństwo dzisiejszych emerytów z bogatych krajów Zachodu. Szwendać się będą po galeriach handlowych, łowić ryby, grillować, oglądać programy kulinarne i te filmy, na których wszyscy chodzą bez ubrania. Konsumować na zasadach idealnych, przewidywanych przez współczesną ekonomię. Kopulować i prokreować. Żal będzie umierać, ale i na to znajdziemy sposoby.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Piękni, silni, mądrzy, tytanowi

Już przecież mamy sztuczne serca, płuca, stawy biodrowe, sztuczne szczęki, protezy kończyn doskonalsze od tych prawdziwych wykonanych przez ewolucję z białka. Arsenal maszyn zastępujących nasze organa będzie rósł. Łatwo sobie wyobrazić, że nasze całe ciało zostałoby zrobotyzowane. Żywym pozostałby jedynie organ najważniejszy – mózg. Umieszczaloby się go w głowie robota, w czymś na podobieństwo termosu, i voilà!

W tym dualizmie rozwoju, w którym maszyny upodabniają się do ludzi, ludzie również upodabniają się do maszyn. Jeżeli rzeczywiście jesteśmy robotami wykonanymi z substancji białkowych, to nie ma żadnych przeszkód, aby w bliższej niż nam się zdaje przyszłości zostać istotami całkowicie zrobotyzowanymi, replikującymi swoje części zamienne w fabrykach i praktycznie nieśmiertelnymi.

Pojawia się tu pytanie o granicę człowieczeństwa, skoro stanowisko, że jesteśmy żywymi maszynami jest coraz szerzej akceptowane. Owe granicy nie możemy ustalić na zasadach znanej nam matematyki, fizyki, chemii i biologii. Kim tak naprawdę jesteśmy – pozostaje tajemnicą. Czym jest najistotniejszy składnik naszego umysłu, jakim jest świadomość, co do której jesteśmy raczej przekonani, że ma podłoże naturalne?

Człowieczeństwo w czystej postaci

Gdyby się okazało, że jest ona reakcją elektryczno-chemiczną naturalnej sieci neuronowej, to w zasadzie nie ma przeszkód, aby owe stany energetyczne odwzorować w materiale półprzewodnikowym. W gruncie rzeczy ludzie stać by się mogli chipami, w których odbywają się te same procesy, jakie w narażonych na nieprzejmności białkowych umysłach.

Czyż to nie piękne!? Cała świadomość nasza i innych ludzi mogłaby zaistnieć w wielkiej jak powierzchnia ziemi płycie trawionej z bilionami mikroprocesorów. Skoro życie, a następnie świadomość, mogły wyewoluować z martwych kamienni, dlaczego nie można by ich inkarnować w wykonane z krzemu – czyli piasku – układy scalone?

Choć zaraz pojawią się sceptycy wybrzydający, wyszydający i uznający taką możliwość za nieprawdopodobną lub niemożliwą – nie możemy nie zauważyć, że każdy z nas jest tylko jakimś ogniwem pośrednim nieskończonego łańcucha istnienia. Obecnie nie wyobrażamy sobie, że początki ludzkości miały wygląd jakiegoś planktonu, ale taka jest właśnie prawda. Dlaczego nie mielibyśmy inkarnować zatem w coś bardzo podobnego, przeżywając istnienie jak obecnie, ale bez wszystkich tych problemów, związanych z koniecznością jedzenia, przemieszczania, wydalania, klócenia się i okładania kijami?

Nie lękajcie się zatem, że zacytuję naszego wielkiego papieża. Myślące maszyny to tylko wyższa manifestacja naszej cywilizacji i forma człowieczeństwa. Niektórzy z nas doznają jej za swojego życia. Ci, którzy nie, też nie mają się o co martwić. W każdym razie żadna katastrofa nie jest planowana.

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W Gorzowie Wielkopolskim nieznanym mężczyzną rozlał w miejscowej restauracji Hukinol, środek służący do odstraszania dzików. Imituje on skoncentrowany zapach ludzkiego potu, a tenże, jak wiadomo, śmierdzi. Przykry incydent dał biesiadnikom pretekst do opuszczenia lokalu bez płacenia rachunków. Szymon Bohusz, właściciel wyszynku, powiedział, że dorwie skurczybyka i obciąży go wszelkimi kosztami. Obiecał sobie też, że zdemaskuje konsumentów, od których domagać się będzie należności. Patrzcie jaki cwany człowiek! Na własnym nieszczęściu chciałby zrobić podwójnie.

■ Maciej Duszczyk, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, wydał 117 mln zł na wzmocnienie zapory na granicy polsko-białoruskiej. „Silniejsza zapora nie da się rozginać lewarkami samochodowymi!” – uważa minister, z zawodu politolog. Z nieudolności politycznej doktora od polityki zagranicznej cieszy się Polimex Mostostal, który w ten sposób zarobi łatwe pieniądze.

■ Ekoświry z organizacji Ostatnie Pokolenie zablokowały przeprawę siekierską na Wiśle w Warszawie. Kładąc się na jezdni, wstrzymywali ruch samochodowy przez kilka godzin, uniemożliwiając dojazd ludziom do roboty. Młodocienne nieroby postulują zaprzestania budowy autostrad, inwestycje w transport publiczny oraz wprowadzenia biletu miesięcznego na transport regionalny w całym kraju za 50 zł miesięcznie. Policja upomina, aby nie traktować agresywnych futurystów gwałcącymi samochodowymi, klucz-

mi do kół i gazem pieprzowym. Taranowanie ciężarówkami również jest niedopuszczalne.

■ Chirurdzy z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Rzeszowie wykonali tysiączną operację w asyście robota da Vinci. Szczęśliwym pacjentem był 50-letni mieszkaniec powiatu niżańskiego, u którego zdiagnozowano raka prostaty we wczesnym stadium. Operacja trwała 1,5 godziny. Przebiegła zgodnie z planem. Urolog Jakub Kępiński, który kierował robotem, zapewnia, że pacjent cieszyć się będzie młodzieńczą erekcją i sikaniem nieprzerwanym strumieniem moczu o zasięgu półtora metra. Każdy w średnim wieku chciałby się tak zoperować. Tylko że trzeba zasymulować najpierw nowotwór prostaty.

■ 64-latka ze świętokrzyskiego usłyszała zarzut usiłowania zabójstwa. Ustalono, że jadąc swoim Peugeotem, intencjonalnie najeżdżała na przeciwny pas ruchu, aby zderzyć się z Citroënem, za którego kierownicą siedział 77-latek. Ów podróżował z trzema kobietami w wieku 70, 75 i 80 lat. Kobieta przyznaje się do winy. Nie potrafi wyjaśnić motywów nadośćlej zbrodni. Naszym zdaniem on istnieje, tyle że starsza pani zapomniała go kilkadziesiąt lat temu.

■ 23-letni obywatel Malezji bardzo się ucieszył, że za przemyt 20 kg marihuany o wartości 1 mln zł, który ujawniono w jego bagażu podręcznym na lotnisku Chopina w Warszawie, grozi mu w Polsce tylko 20 lat więzienia. „W Kuala Lumpur dostałbym karę śmierci” – oświadczył z uśmiechem. Każda radość jest ważna bez względu na jej genezę. Kara śmierci w Malezji została zniesiona w minionym roku. Ale szła! Po co facetowi nieobeznanemu w prawie psuć humor?

■ Jak przekazał asp. Rafał Jarząb z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu, po zażartym pościgu i dobre zor-

ganizowanej obławie policja drogowa ujęła motorniczego, który prowadził tramwaj miejscowego MPK, choć nie powinien, bo był pijany. Było to bardzo trudne zadanie. Radiowozy są szybkie, ale tramwaje górują nad nimi masą. Nie można było zastosować blokady ani użyć broni. Posłużono się rozmowaniem, z którym u policjantów różnie bywa. Ponieważ tramwaj nie jechał wężykiem, nikt by się nie zorientował, że prowadzący zachlał, gdyby nie to, że ostro zahamował. Pasażer wywinął orla. Ów człowiek nielot powiadomił, niestety, kogo nie należy.

■ Powiat Mielecki, którego populacja liczy ok. 133 tys. mieszkańców, wydał w minionym roku na oświatę i wychowanie 103 mln 582 tys. zł. Przyjmując ogólnopolską średnią ludzi uczących się w szkołach, która wynosi 19 proc. populacji Polaków, wychodzi, że nauka w mieleckich szkołach w przeliczeniu na ucznia kosztuje podatników miesięcznie ok. 400 zł.

■ Lasy Państwowe pochwały się, że w latach 2019–2023 wyeksportowały 14,3 mln ton drzew w formie nieprzetworzonego drewna. Ujmując obrazowo, chodzi o objętość, którą można zmieścić na 530 tys. standardowych ciężarówek. Większość uśmierconych przez leśników roślin wywieziono do Niemiec, Chin oraz Szwecji, gdzie obszary leśne stanowią 68,4 proc. powierzchni kraju. Celem tej świetnej polityki jest osiągnięcie zalesienia Malty, na której powierzchni drzewa zajmują 1,1 proc. W lesie bowiem można zablądzić, zostać zjedzonym przez wilka, zainfekowanym boreliozą przez kleszcza, otrutym muchomorem, a nawet zarazić się chorobą weneryczną. Polskie lasy to niepotrzebny relikwium średniowiecza.

■ Jeżeli chodzi o mjr. pil. Roberta „Killera” Jęła, który rozbił samolot szkolno-treningowy M-346 Bielik, na lotnisku

w Gdyni, no to „Killer” nie żyje. „Straciliśmy świetnego pilota, wspaniałego instruktora oraz dobrego człowieka. O lataniu marzył od dziecka” – powiedział gen. Ireneusz Nowak, Inspektor Sił Powietrznych. Tak samo mówiono o moim bracie, który zginął w podobnych okolicznościach. Jakby byli tacy świetni, jak o sobie mniemali – a potem o nich gadano – to nadal obaj by żyli.

■ Sekretarz Generalny NATO Jens Stoltenberg stwierdził na szczycie sojuszu w Waszyngtonie osiągnięcie gotowości operacyjnej instalacji przeciwrakietowej w Polsce. Baza rakietowa w Redzikowie została ukończona i oddana do użytku Marynarce Wojennej USA. Dzięki jej gotowości możliwe jest zniszczenie rakiet z ładunkami nuklearnymi zdążającymi w kierunku Waszyngtonu już w Polsce. Głównie termojądrowe spadną nam z nieba na ziemię. Oslabi to skuteczność hipotetycznego ataku atomowego na Stany Zjednoczone o 35 proc.

■ Natomiast transport miejski w Poznaniu zainwestuje w elektroniczny system Poznańskiej Elektronicznej Karty Aglomeracyjnej (PEKA) 72,5 mln zł. System powstał już czas jakiś temu. Kosztował ówczesnie 46 mln zł, a teraz jest już przestarzały. Przy tych cenach rozważalibyśmy poważnie możliwość powrotu do systemu biletów celulozowych. Intuicyjnie wydaje się, iż byłoby taniej. Albo zrezygnować w ogóle z systemu PEKA. Można by to łatwo osiągnąć, wyposażając po prostu każdy tramwaj w terminal płatniczy za 300 zł.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy lokalnej, więc są umiarkowanie wiarygodne. Należy do nich podchodzić ze zdrowym sceptycyzmem. Odzegnujemy się od wszelkich skutków prawnych ich niezgodności z rzeczywistością.

Od dawna śmiać mi się chce, gdy słucham i czytam o apolityczności sportu. Ani piłkarskie Euro24, ani paryskie igrzyska olimpijskie nie są wolne od polityki. Rządy państw, które decydują się na organizację tak kosztownych imprez, chcą mieć coś w zamian.

Niemcy: zombieland i niaziolę

W Niemczech zbliżają się wybory lokalne. Istnieje niebezpieczeństwo, że w wielu landach, zwłaszcza na wschodzie kraju, po władzę sięgnie faszyzująca partia AfD; taki niemiecki odpowiednik Konfederacji, tyle że dodatkowo kładący nacisk na wybielanie hitlerowskiej przeszłości kraju. Kanclerz Olaf Scholz i jego ekipa umyśliли sobie, że perfekcyjna organizacja imprezy, tysiące zadowolonych zagranicznych turystów, a przede wszystkim wielki sukces piłkarzy, przyćmią przed wyborami wiele problemów i zniechęcą ludzi do głosowania przeciw władzy. A chęć taka jest coraz wyraźniejsza.

Nie znam osobiście lewego obrońcy reprezentacji Niemiec Maximiliana Mittelstaedta, choć obaj nosimy takie samo nazwisko, ale mam paru innych znajomych Niemców. Aż przykro słuchać, jak narzekają na wszystko, co dzieje się w ich kraju. Niektórzy (dają słowo, znam takie polsko-niemieckie małżeństwo) przenieśli się z zachodu na wschód i zamieszkali u nas, bo tu się żyje lepiej. Słynny niemiecki dobrobyt – ich zdaniem – przechodzi do historii.

Z planów kanclerza Olafa Scholza nie wszystkie się spełniły. Reprezentacja Niemiec odpadła w ćwierćfinale imprezy po porażce 1:2 z Hiszpanią. Nie wykorzystali też gospodarze możliwości wypromowania zalet swojego kraju.

Przysłowiowa niemalże niemiecka organizacja często zawodziła. Ot, choćby taki przykład: najazd kibiców na Gelsenkirchen spowodował całkowite zakorkowanie tego 250-tysięcznego miasta. Poruszanie się po nim stało się możliwe wyłącznie piechotą, co może jest i zdrowe, ale na bliskie odległości.

Media z krajów, którym przyszło grać we Frankfurcie, ostrzegały natomiast swoich kibiców przed „zombielandem”: niebezpieczną dzielnicą slumsów, zamieszkiwaną niemal wyłącznie przez narkomanów i dealerów. Zastanawiające, że UEFA w przewodnikach dla przybyszów, zalecała właśnie lokalizacje w pobliżu „zombielandu”.

Szkokiem też było, że w kraju, który szczyci się mianem najsilniejszej gospodarki Europy, w wielu miejscach nie można zapłacić kartą. Cholera, to obok szpitala, w którym codziennie rehabilituję moje chore nogi, w małym warzywniaku, czynnym kilka godzin dziennie, sympatyczna właścicielka akceptuje karty płatnicze, a w Niemczech jeszcze nie wszędzie się tego dorobili?

„Bild” ostro skomentował organizację wpadki podczas Euro 2024: „To hańba” – napisał w tytule. Trudno więc powiedzieć, by gospodarze imprezy w pełni wykorzystali możliwość pozytywnego zaprezentowania się światu.

Francuski narcyzm olimpijski

Każde igrzyska olimpijskie to wirtyna wystawowa dla kraju, który chce olśnić swoimi możliwościami. Korzystał z tego Związek Radziecki i Rosja, Chiny, Stany Zjednoczone, Japonia oraz każdy, kogo stać na kolosalny wydatek. Formalnie gospodarzami najważniejszej imprezy czterolecia są miasta, ale tyle w tym prawdy, ile w stwierdzeniu, że sport jest apolityczny. Nie ma na świecie miasta, które mogłoby sobie pozwolić na or-

Kibice nie mają urlopu. Ledwie skończyły się piłkarskie mistrzostwa Europy, przed telewizorami posadzą ich igrzyska w Paryżu.

Po co komu olimpiada?



Frys: PAWEŁ KUCZYŃSKI

ganizowanie zawodów w tak wielu dyscyplinach.

Paryż przygotowuje się do igrzysk od września 2017 r. Można zaryzykować tezę, że to miasto (czy raczej państwo) zostało wybrane, bo nie miało kontrkandydatów.

To znaczy początkowo byli, ale stopniowo się wycofali.

Czy może dziwić, że do wyścigu początkowo stanęły Węgry Viktora Orbána? Przecież ten kraj, podobnie jak Polska za Kaczyńskiego (ale o tym za chwilę), uważa się za pępek świata. Nawiasem mówiąc, Węgrzy mają osobliwą politykę olimpijską: władze sportowe wybrały sobie kilka dyscyplin – takich, w których można zdobyć najwięcej medali – i inwestują w nie ogromne pieniądze; inne sporty uprawiać wolno, ale dużych dotacji państwowych się nie dostaje. Jednak nawet osobista ambicja wszechmocnego ponoć Orbána nie pokonała oporu mieszkańców Budapesztu; władze kraju wycofały kandydaturę.

Niemcy organizowali igrzyska w 1972 r. w Monachium. Postanowili pójść za ciosem i zgłosić do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego kandydaturę Hamburga. Przeprowadzono jednak referendum i po ogłoszeniu jego wyników Paryżowi ubył kolejny kontrkandydat.

Włochom także zamarzyły się igrzyska. Rzym już gościł sportowców w 1960 r. i widocznie uznano, że imprezę najwyższy czas powtórzyć. Kiedy przeliczono jednak koszty i ewentualne korzyści, pomysł dość prędko zarzucono.

Paryżowi został tylko jeden rywal. Los Angeles dwukrotnie gościło najlepszych sportowców: w 1932 i w 1984 r. W 1984 r. zabrakło zawodników z obozu socjalistycznego, co było zemstą za bojkot przez USA i niektóre kraje Zachodu igrzysk w Moskwie w 1980 r.

Amerykanie nie zrezygnowali tak łatwo jak Węgrzy czy Włosi. Zamiast tego, jak przystało na kraj, w którym potrafią robić biznes, dogadali się z Francuzami: wy zorganizujecie igrzyska 2024 r., my natomiast cztery lata później. I wy nas w tym wesprzecie.

Paryż bez kloszardów

W ten sposób już 26 lipca zapłon w Paryżu zniczyć olimpijski. Igrzyska stały się oczkiem w głowie prezydenta Emmanuela Macrona. Miały być silnym argumentem wyborczym, ale niewiele z tego wyszło; nikt nie wygrał. Premier podał się do dymisji, ale na prośbę prezydenta zostanie na stanowisku, właśnie ze względu na olimpiadę.

Francuzi wprost wychodzą z siebie, żeby świat mówił o nich głośno i do brze. Co i raz dowiadaliśmy się o jakichś nowinkach. Ot, taki drobiazg:

w każdym medalu olimpijskim zawarty będzie fragmencik Wieży Eiffla.

Swego czasu podczas jej remontu wymieniono niektóre elementy stalowej konstrukcji. Teraz zużyte części wyjęto z magazynu, przetopiono i doprawiono nimi odlewane medale. Ich zdobywcy zabrają więc ze sobą do domu jakby część Paryża.

O otwarciu imprezy mówi się od dawna. Po raz pierwszy nie odbędzie

się na stadionie, lecz na Sekwanie. Sportowcy nie będą defilować, ale popłyną na 94 łodziach.

Przynajmniej teoretycznie tak ma być. Igrzyska w Paryżu rozgrywane są w wyjątkowo niespokojnych czasach. Już teraz ze względów bezpieczeństwa zmniejszono liczbę widzów ceremonii otwarcia o połowę; do 300 tys. Jednocześnie zapowiedziano, że jeśli zajdzie taka konieczność, parada łódek na Sekwanie zostanie odwołana, a impreza w trybie nagłym przeniesiona w inne miejsce. Jakże? To tajemnica państwowa.

W ogóle bezpieczeństwo będzie tematem podnoszonym podczas igrzysk równie często jak same zawody. Nie może być inaczej, skoro rosyjscy hakerzy, w zemście za niedopuszczenie do olimpiady sportowców z ich kraju, zamierzają włamywać się do sędziowskich komputerów i fałszować wyniki.

Niedawno przeczytałem, że przed imprezą wysiedlono ze stolicy Francji bezdomnych. Psuliby wizerunek kraju. Nad śpiącymi na ulicach obywatelami unosi się w dodatku nieprzyjemny zapach. Czy można dopuścić do tego, żeby oczy i nozdrza zagranicznych turystów narażać na taki dyskomfort? Kloszardom obiecano, że w miastach i miasteczkach, do których ich przenoszą, dostaną tymczasowy dach nad głową i wyżywienie. Okazało się, że wyładowali na ulicach, których nie znają i nawet nie wiedzą, gdzie są śmietniki, w których mogą znaleźć coś do zjedzenia. Takie wczasy all inclusive zapewniła im ekipa prezydenta Emmanuela Macrona.

Moskwa bez pionierów i Wysockiego

Jesteście w błędzie sądząc, że Francuzi wynaleźli coś oryginalnego. Strach o tym pisać, ale relacjonowa-

łem już igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r. Stolica Kraju Rad witała przybyszów czystymi i prawie pustymi ulicami. Wszelki podejrzany element wywieziono z miasta. Nie sądzę, żeby młodzież szkolną, a w szczególności pionierów, także uznano za szkodników, ale na wszelki wypadek ich także pozbyto się z ulic. Po prostu zorganizowano dla nich kolonie i obozy pionierskie. Dzięki temu uniknięto gorszących scen, gdy jakaś dziewczynka albo chłopak w czerwonej chuście na szyi poprosi zagranicznego turystę o gumę do żucia; rzecz w ZSRR wówczas niedostępna, a wielce pożądana przez młodych obywateli.

Podczas trwania igrzysk w Moskwie zmarł Władimir Wysocki. Człowiek o niesamowitej charyzmie, uwielbiany przez ludzi na całym świecie. My, dziennikarze sportowi, na moment porzuciliśmy boiska i stadiony, popędziliśmy pod Teatr na Tagance, którego gwiazdą był Wysocki. Przychodziły tam tłumy moskwan. Ludzie płakali, niektórzy przynosili własne wiersze i umieszczali na ogrodzeniu teatru.

Szybko rozeszła się pogłoska, że fantastyczny pieśniarz i poeta, nazywany jedynym radzieckim człowiekiem, który żył na wolności, stał się ofiarą olimpijskiej czystki.

Oczywiście nikt go nie chciał wywozić z Moskwy, wywieziono jednak dealerów narkotyków i sprzedawców alkoholu w melinach. Wysocki był tak silnie uzależniony od używek, że jego organizm nie wytrzymał naglej przymusowej abstynencji. Nie wiem, czy to prawda, ale w czasie, gdy mieszkalem w Petersburgu, poszedłem do kina, gdzie wyświetlano film o nadzwyczajnym artyście. Taką przyczynę śmierci Wysockiego w nim sugerowano. Film, jak nietrudno się domyślić, powstał już po pierestrojce.

Tusk bez mocarstwowych odlotów?

Ktoś zapyta, czy my jesteśmy gorsi? Czy nie powinniśmy zorganizować igrzysk olimpijskich? Czy nie jesteśmy wystarczającą potęgą? Owszem, były próby przyjęcia zimowych sportowców w Zakopanem, a wcześniej w Krynicy. Jeśli chodzi o Krynicy, było to przed wojną, więc nie wiem, czy prawda. Gdy do rządów przyszło PiS ze swoją mocarstwową narodową polityką, zrodził się plan zorganizowania igrzysk olimpijskich w Warszawie.

Pan prezydent Andrzej Duda zapowiedział, że będziemy się starać o prawo przeprowadzenia igrzysk w 2036 r. Na snucie ambitnych planów pozwolić miało znakomite zorganizowanie i przeprowadzenie igrzysk europejskich w Krakowie i okolicach. Chyba żaden doradca nie szepnął prezydentowi, że wspomniana igrzyska to koślawia impreza odiedziona po Azerbejdżanie i Białorusi, w dodatku fatalnie zorganizowana. Inaczej zresztą być nie mogło, skoro na czele komitetu organizacyjnego stanął minister Jacek Sasin.

Zdradzono nawet sporo szczegółów przyszłych warszawskich igrzysk. Wioskę olimpijską planowano w miejscu obecnego Lotniska Chopina, które miało już być w tym czasie zastąpione przez CPK.

Władza się zmieniła. Mam nadzieję, że obecny rząd nie zainteresuje się tymi mocarstwowymi planami i da sobie spokój z olimpiadą. Premier Donald Tusk jest co prawda znanym kibicem, na szczęście głównie piłki nożnej, a piłka nożna akurat podczas igrzysk olimpijskich nie jest bardzo ważna. W tym nadzieja na zdrowy rozsądek.

Na szczęście, gdybym nawet jakimś cudem dożył do 2036 r., to starcza demencja nie pozwoliłaby mi śledzić wspaniałych igrzysk w Warszawie. Tego się trzymam.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 17.07.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Patryk Jaki z Suwerennej Polski wierzył w Boga oraz w to, że zostanie prezydentem Polski. Wiedział, jak wygrać z Trzaskowskim czy Hołownią.

– Będiesz miał lepszy program? – zgadywał Michał Woś, też z Suwerennej Polski, który na razie siedział tylko w fotelu.

Jaki potrząsnął czarnowłosą czupryną. – Będziesz ładniejszy? – pisał Jan Kanthak, jeszcze z Suwerennej Polski.

Jaki zaprzeczył, choć miał się za najprzystojniejszego polityka ewer i ewryler.

– Będziesz mądrzejszy? – roześmiał się Dariusz Matecki, oczywiście z Suwerennej Polski. Również on liczył się z tym, że najpierw może stracić immunitet, a potem usiąść bynajmniej nie w fotelu.

– Będę mądrzejszy! – zawołał Jaki, wskazując na telewizor, z którego od kilku dni sączyły się obrazy z Butler w Pensylwanii. – Ale nie w sensie, że dostanę Nobla czy coś...

A w jakim sensie? – spytałby Marcin Romanowski z Suwerennej Polski, gdyby siedział tu, a nie całkiem gdzie indziej.

– Ten facet – Jaki wskazał na Donalda Trumpa – jak Bonaparte dał mi przykład, jak zwyciężyć mam.

– Jak? – westchnął Kanthak.

Jaki wyciągnął walizeczkę magika i postawił ją na stole.

– To jest sztuczna krew – powiedział po wyjęciu z walizeczki szklanej fiołki. – A to jest moje prawe ucho – dotknął palcem swojego prawego ucha. Następnie spod stołu wydobył broń. – To natomiast jest automatyczny karabin AR-15! – zachwycił się. – Kumacie?

– Niezłe... – mruknął z uznaniem Woś.

– Genialne! – zawołał Matecki.

– Sprytne – pochwalił Jakiego Kanthak.

Dobre – oceniłby Romanowski, gdyby miał głowę do takich spraw jak prezydentura Jakiego.

– Teraz potrzebuję już tylko ochotnika, który strzeli do mnie ślepakami podczas wiecu wyborczego – dokończył Jaki. – Który z was się zgodzi?

Politycy Suwerennej Polski popatrzyli po sobie, a potem spuścili głowy.

– Ja nie mogę, bo będę w areszcie – szepnął Woś.

– Ja też – dodał Matecki.

– Ja mam chory kręgosłup – jęknął Kanthak.

Ja mogę strzelić – powiedziała Romanowska, ale Jakiemu na takim snajperze raczej by nie zależało.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA ogląda CNN.

JOANNA SENYSZYN walczy z ogrodem, ale jakieś strzępy newsów do niej docierają.

Wołk-Łaniewska: – No i po co walczyć? Przecież nie masz krzyża?

Senyszyn: – Chyba nie do końca widzę związek...

– „Ten dziki ogród angielski, to kłopot prawdziwy! To się altana załamie, burza krzyż umyślnie krzywy zwali – o mało co nie zabił Pana”. Słowacki, „Fantazy”.

– Ty masz dziwaczne skojarzenia.

– A skąd?! Od małego...

– Małej.

– Niech ci będzie. Od małej byłam wyczulona na treści klasowe w literaturze klasycznej.

– A co jest klasowego w krzywym krzyżu?

– Jak to co? Drwina z jaśniepaństwa...

– Mój krzyż też krzywy, więc boli, jak się przepracuję, ale już musiałam, bo mój ogród zrobił się zbyt angielski. Zieleń się rozbuchała i silniejsze jednostki zagłuszyły słabsze. To też walka, choć nie klasowa, a gatunkowa. Z bluszczu wyrosły ośmiometrowe wąsy, które tak opanowały ścieżki i schody, że przejść się nie dało...

– I co, maczetą je wyrąbywałaś?

– Sekatorem. Ale tylko dlatego, że nie mam maczety.

– O, to już wiem, co ci dać na gwiazdkę.

– Nie musisz czekać do gwiazdki. Teraz potrzebuję maczetę, a nie zimą, kiedy w ogrodzie się nic nie robi. Zmieniając temat: widziałas zatrzymanie Romanowskiego?

– Przelotnie, bo głównie oglądałam mordowanie Trumpa.

– Zatrzymanie wyszło lepiej.

– Może dlatego, że do Trumpa strzelał jeden amator, a Romanowskiego wzięło 14 policjantów.

– Skąd wiesz, że 14?

– Policzyłam. Choć mogłam się pomylić, bo większość miała kominiarki, więc mogłam jakiegoś policzyć dwa razy. Albo nie doliczyć. Tak czy inaczej, było ich mrowie a mrowie, żeby zacytować Chmielewską. Więcej niż agentów Secret Service wynoszących niezastrzelonego Trumpa ze sceny. Trochę mnie dziwi tak nieracjonalne zarządzanie zasobem ludzkim, zważywszy że jak facet sam przyszedł, to go odesłali do domu.

– Abstrahując od samego zatrzymania: byłam przekonana, że sejm uchylił Romanowskiemu immunitet i dał zgodę na aresztowanie, żeby były wicek od Ziobry odpowiedział za przekręty z Funduszem Sprawiedliwości, a tu szok.

– Niestety. Piekło kobiet trwa. Przepadł lewicowy projekt depenalizacji aborcji. Byłby milowym krokiem w walce o słuszne prawa kobiet.

– Tak całkiem szczerze, to gównu by było, dopóki Duda dudzi w Pałacu, ale choć wrażenie by zrobili, że coś robią...

– Czarzaści okazali się nieudolni i niezdolni do przeprowadzenia przez sejm swojego ratunkowego pomysłu. Nie potrafili namówić czwórki dodatkowych posłów/posłanek z rządzącej koalicji do głosowania „za” lub czwórki z PiS do niegłosowania. A może w ogóle nie próbowali, bo uważali, że z PiS się nie rozmawia, a skoro w KO jest dyscyplina, to nie muszą nic robić.

– Jak nie chcieli gadać, to mogli choć pisowcom Laxigenu do zupy dosypać W 1993 r. okazało się to całkiem skuteczne w wyeliminowaniu posła Dyki z głosowania nad rozwiązaniem sejmu...

– To była raczej niechęć do premierki Suchockiej niż Laxigen.

– W każdym razie poszedł do kibla i tam został na czas głosowania. Może się zatrzasnął, ale w każdym razie nie było go na sali i wniosek przeszedł.

– Tak czy inaczej, nie rozumiem, dlaczego czarzaści nie walczyli o swój projekt. Po głosowaniu o odrzuceniu projektu było już wiadomo, co się święci. Dlaczego wtedy nie poprosili o przerwę i nie spróbowali jeszcze rzutem na taśmę kogoś przekonać? Klimczak i Orlński z PSL głosowali przeciw odrzuceniu projektu w całości, a po minucie, w kolejnym głosowaniu byli już przeciw jego przyjęciu. Może wystarczyłoby utwierdzić ich w słuszności głosowania za projektem, skoro nie chcieli jego odrzucenia?

– Może Laxigenu towarzysze nie mieli przy sobie...

– Ty sobie dworujesz, a sprawa jest tragiczna. A najtragiczniejsze jest samozadowolenie czarzystych i bezmyślne chwalenie się, że cały, 26-osobowy klub głosował „za”. A niby jak miał głosować? Przeciw swojemu projektowi?

– No mogliby obronie życia.

– Żenująca postawa i katastrofalny brak sprawczości.

– Brak sprawczości wynika z gównianego wyniku wyborczego. Jak się ma 26 posłów, to można tylko prosić i apelować.

– Kłopot polega na tym, że oni nawet apelują głupio. Jak słyszę hasło „Aborcja jest ok” – to wiem, że niczego nie osiągną. To tak, jakby powiedzieć „wyrwanie zęba jest ok”. No nie jest i lepiej zapobiegać próchnicy. Albo drugie hasło: „Aborcja ratuje życie”.

– ...przed zjebaniem.

– Gdyby tak to ujęli, nie miałabym zastrzeżeń. Generalnie zresztą uważam, że w tej całej dyskusji brakuje lekkości. Wiele lat temu na demonstracjach zachwyliła mnie młoda dziewczyna z transparentem: „Od tabletki i skrobanki rozpoczynam swe poranki”...

– Tuwim ją zainspirował: „Ledwo słońeczko uderzy w okno złocistym promykiem, budzę się hoży i świeży z antypaństwowym okrzykiem”.

– Szczególnie lubię w tym wierszu frazę: „I najserdeczniej uwłaczam Bogu, ludzkości, ojczyźnie”.

– To tak ja my każdego ranka na złocie ateistów.

– Na który serdecznie zapraszamy: od 15 do 18 sierpnia do Hotelu Miś w Spale. Szczegóły na www.koalicjaateistyczna.org. Liczba miejsc ograniczona, więc kto się chce z nami spotkać, musi się spieszyć.

– A więc do zobaczenia.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl



– Ja od początku była przekonana, że chodziło o to, żeby rzucić kogoś na pożarcie, bo lud się niecierpliwi. Ale czemu szok?

– Wiceminister sprawiedliwości nazwiskiem Myrcha, w odpowiedzi na zarzut, że aresztantowi Romanowskiemu przysługuje drugi immunitet z Rady Europy, odpowiedział: „Immunitet ten nie ma zastosowania w sprawie. Nie jest też ochroną przed grzechami przeszłości”...

W najczarniejszych snach nie przypuszczałam, że w Polsce obowiązuje już kodeks kanoniczny i obywatele mogą być aresztowani i skazywani za grzechy. Chociaż z drugiej strony, skoro religijna kategoria grzechu nie dotyczy ateistów, to może, żeby uniknąć aresztowań, wierni będą odchodzić z Kościoła kat. Czyżby to był plan koalicji na realizację wyborczej obietnicy świeckiego państwa?

– Jakoś muszą się za to zabrać. A w innych obszarach deklarykalizacja idzie im słabo...

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 307

